









Włzichowostka

OSTATNIE DNI POMPEI.



OSTATNIE DNI  
POMPEI

przez

E. L. Bulwera.

*Wł. W.*

TOM III

WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej”

Druk. J. Sikorskiego, Warecka 14

1866

*301245*





130604

**ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ**

**Варшава, 4 Сентября 1899 года.**

# KSIEGA III.

(Ciąg dalszy).

---

## ROZDZIAŁ VIII.

**Julia udaje się do Arbacesa. — Skutek ich widzenia się.**

Arbaces siedział w izbie otwierającej się na pewien rodzaj ganku lub portyku naprzeciw ogrodu. Błada twarz jego zoraną była wytrzymanemi cierpieniami, lecz już zdrowie żelazne pokonało po większej części skutki straszliwego przypadku, który go pozbawił okrutnych owoców zwycięstwa. Ochładzające i balsamiczne powietrze orzeźwiało mdlejące jego oczy, a krew wolniej niż od dni kilku krążyła w żyłach.

— Tak więc, — rzekł do siebie, — burza przeznaczenia już przeszła; nieszczęście, które przepowiedziała moja umiejętność, a które nawet życiu mojemu miało zagrozić, ziściło się i jeszcze żyję. Stało się, co wyrzekły gwiazdy!... A teraz rozpocznie się ów zawód długi, świetny, pomyślny, który przeznaczyły

mi nieba, jeżeli to nieszczęście przeżyję. Przebyłem, zwyciężyłem ostatni złowieszczy wpływ przeznaczenia. Teraz mi tylko zostaje skreślić plan mojej kwitnącej przyszłości; mogę to uczynić bezpiecznie i bez obawy. Naprzód najcelniejszą rozkoszą, pierwszą nawet przed miłością, będzie zemsta; ten Grek, zaledwie wychodzący z dzieciństwa, który przeszkodził mojej namiętności, który zniweczył moje zamiary, który mi uszedł w chwili, gdy żelazo moje skąpać się miało w ohydnej krwi jego, nie uniknie mnie po raz drugi. Lecz jakich do zemsty chwycić się sposobów? Nad tem to głęboko zastanowić się trzeba. O, Ate! jeżeliś w samej rzeczy boginią, udziel mi boskich twych natchnień.

Po tych słowach Egipcyanin w głębokie wpadł zamyślenie, żadnego jednak jasnego i pewnego nie powziął wyobrażenia. Zmieniał projekta, tworzył coraz nowe plany, i odrzucał je bezustannie. Często bił się w piersi i jęczał, bo żądza zemsty łączyła się w jego sercu z uczuciem niemożności zadośćuczynienia. Gdy się tak w swych myślach pograżał, młoda niewolnica weszła z miną bojaźliwą do izby.

— Kobieta wysokiego znaczenia, jak się to widzieć daje z jej i towarzyszącego jej niewolnika ubioru, pragnie widzieć się z Arbacesem.

— Kobieta? (Serce jego biło gwałtownie). Czy jest sama?

— Tak jest; twarz ma okrytą zasłoną, lecz wysmukła i okrągła kibić objawia młodość.



— Wprowadź ją — rzecze Egipcyanin. W próżności swej mniemał na chwilę, że to być mogła Jona.

Pierwszy rzut oka na nieznaną, gdy weszła, wywiódł go z błędu natychmiast. Była wprawdzie tak wysoką, jak Jona, zdawała się być tegoż wieku, i miała smukłą kibić; lecz gdzie ten wdzięk zachwycający, jaki towarzyszył zwykle wszystkim poruszeniom niezrównanej Neapolitanki; ten ubiór tak czysty i tak skromny, w którego nawet najstaranniejszem wyszukaniu jeszcze mieściła się prostota, ta postawa zarazem wspiana i bojaźliwa, ta godność kobieca i ta skromność!

— Przebacz, iż nie mogę podnieść się z tego siedzenia, — rzecze Arbaces, wpatrując się stale w nieznaną; — powstaję z choroby.

— Nie trudź się, szlachetny Egipcyaninie, — odpowiedziała Julia, usiłując pod wygodną maską pochlebstwa ukryć przestach, jakiego już zaczynała doznawać, — i przebacz nieszczęśliwej kobiecie, uciekającej się do twej mądrości.

— Zbliź się, piękna nieznaną, — rzecze Arbaces, — i mów bez ogródek i obawy.

Julia usiadła obok Egipcyanina i rzuciła wzrokiem podziwienia na izbę, której kosztowny i wyszukany zbytek przewyższał nawet ten, jakim jaśniał dom jej ojca; wpatrywała się również z przestachem w hieroglificzne napisy ścian, w postaci tajemniczych obrazów, których oczy ze wszech stron na nią zwracały się, w trójnóg, lecz nadewszystko w poważne

i uderzające oblicze samego Arbacesa. Długa szata biała, nakształt zasłony, okrywała czarne jak heban włosy i spadała ku nogom; bladość rozlana po twarzy w dwójnasób zwiększała znaczenie jej wyrazu, a czarne i przenikliwe oczy zdawały się przedzierać przez zasłonę Julii, dla przeniknięcia tajemnic jej próżnej niewieściej duszy.

— Jaki powód, młoda dziewico, — rzecze poważnym głosem, — przywiódł cię do domu cudzoziemca Wschodu?

— Jego sława, — odrzekła Julia.

— W czymże to? — rzecze z dziwnym i wzgardliwym uśmiechem.

— Czyż można o to się pytać, mądry Arbacesie? umiejętność twoja nie jestże przedmiotem wszystkich rozmów Pompei?

— Posiadam wprawdzie nieco wiadomości, — odrzekł Arbaces, — lecz mogą przynieść korzyść uszom piękności te poważne i zimne tajemnice?

— Niestety! — rzecze Julia, ośmielona wyrazami pochlebstwa, tak pospolitego jej uszom, — czyż boleść nie ucieka się do mądrości dla otrzymania ulgi, a kochający bez wzajemności nie sąż ofiarami boleści?

— Ach! — zawołał Arbaces, — czyż może miłość nieszczęśliwa dać się uczuć piękności, której wdzięki przedzierają się nawet przez fałdy okrywającej ją zasłony? Racz podnieść tę zasłonę, abym się przekonał, czy twarz odpowiada doskonałości postawy.

Dosyć skłonna popisywać się z wdziękami, zwłaszcza, iż mniemała, że widok ich ujmie czarodzieja, Julia, po niejakiem wahaniu się, podniosła zasłonę, i ukazała Egipcyaninowi piękność, któraby w samej rzeczy uderzała swym blaskiem, gdyby w niej było mniej przesady, a więcej prostoty.

— Przybywasz do mnie po poradę w niešťczęśliwej miłości, — rzecze; — nie mogę ci dać lepszej na tę, abyś ukazała tę twarz niewdzięcznikowi.

— Zlituj się, dosyć tych pochlebstw, — rzecze Julia;—ja przysłałam prosić o napój miłości.

— Dowiedz się, piękna nieznajoma, — rzecze Arbaces z pewną ironią, — że miłosne napoje nie są w liczbie owoców, któremi długa obdarzyła mię praca.

— Czy tak jest! przebacz mi więc, szlachetny Arbacesie, i przyjmij pożegnanie moje.

— Wstrzymaj się, — rzecze Arbaces, który pomimo swą namiętność dla Jony, dosyć zasmakował w piękności Julii, i gdyby lepsze w tej chwili miał zdrowie, byłby doświadczył innych sposobów pocieszenia nad te, jakie umiejętność nadprzyrodzona mogła nastreczyć; wstrzymaj się. Chociaż miłosne napoje i leki zostawiam tym, którzy czynią z tego powołanie, jednak będąc sam wielbicielem piękności, używałem ich niekiedy w młodości. Jeżeli więc okażesz mi otwartość, zdołam może dać ci zbawienne rady. A naprzód, czy jesteś niezamężną, jak to okazuje twój ubiór?



— Tak jest,—rzecze Julia.

— Czy pozbawiona majątku, chciałabyś może uwieść bogatego kochanka?

— Jestem bogatsza, niż ten, który mną pogardził.

— Coraz się więcej zadziwiam! I kochasz tego, który cię odrzuca?

— Nie wiem, czy go kocham, — odrzekła Julia z dumą, — lecz wiem, że chciałabym odnieść tryumf nad współzalatniczką; chciałabym u nóg moich widzieć tego, który mię odrzucił, widzieć wzgardzoną tę, którą teraz prznosi nademnie.

— To duma szlachetna i godna kobiety, — rzecze Egipcyanin poważnym i wolnym od wszelkiej ironii tonem;—lecz wyznaj mi więcej, piękna dziewi-co. Chciej mi powierzyć imię tego kochanka. Jeżeli jest z Pompei, jakim sposobem zarazem nieczulym być może na bogactwa i wdzięki?

— Jest z Aten, — odrzekła Julia, spuszcza-jąc oczy.

— Ach!—zawołał Egipcyanin z zapędem, a czo-ło jego okryło się czerwonością, — jeden jest tylko młody i szlachetny Ateńczyk w Pompei. Miałabyś mówić o Glauku?

— Ach! nie wydaj mię!... On się tak w samej rzeczy nazywa.

Egipcyanin zagłębił się w swoje krzesło i wlepił niepewne spojrzenie w odwróconą twarz córki kupca, czyniąc sobie w myśli zapytanie, czy to widzenie się, które lekceważył zrazu, bawiąc się łatwowiernością

i próżnością zalotnicy, nie zdoła czasem dopomódz jego zemście.

— Widzę, że nie możesz mi poradzić, — rzecze Julia, obrażona tem długim milczeniem; — lecz dochowaj mi przynajmniej tajemnicy. Raz jeszcze, żegnaj cię!

— Młoda dziewico, — rzecze Egipcyanin poważnym głosem, — prośba twoja dotknęła mię, i chcę ci uczynić przysługę. Słuchaj mię. Nie trudniłem się sam temi fraszkami, lecz znam osobę, która się niemi zajmuje. U stóp Wezuwiusza, mniej, niż o milę od miasta, mieszka można czarnoksiężnica; wiem, że z pod złowieszczej rosy księżycy na nowiu zbierała rośliny mające uwięzić miłość na wieki; sztuka jej może do nóg twoich przywieść kochanka. Udaj się do niej, mów jej o Arbacesie, to imię obawę w niej wznieca; udzieli ci ona bezwątpienia swych najmożniejszych napojów miłości.

— Niestety!—odrzekła Julia,— nie znam drogi wiodącej do jej mieszkania. Niewielka to wprawdzie odległość, jest jednak zbyt daleką dla młodej dziewczyny, która teraz nawet dom swój opuściła bez wiedzy ojca. Pole jest okryte winnicami dzikimi, a niebezpieczne jaskinie znajdują się na każdym kroku. Nie śmiem powierzyć się nieznanym przewodnikom; sława kobiety mojego stanowiska łatwo uszkodzoną być może, a lubo nie kryję się z miłością dla Glauka, nie chciałabym jednak, aby wiadano, żem otrzymała wzajemność mocą napoju miłości.

— Sambym ci mógł towarzyszyć, gdyby trzy dni jeszcze upłynęły w powrocie moim do zdrowia, — rzecze Egipcyanin, wstając dla doświadczenia sił i przechodząc małą przestrzeń chwiejącym się krokiem. — Musisz poczekać.

— Lecz Glaukus rychło żeni się ze swoją Neapolitanką.

— Żeni się!

— Tak jest, w pierwszych dniach miesiąca nadchodzącego.

— Tak rychło! Czy rzetelną jest ta wiadomość?

— Mam ją z ust własnej jego niewolnicy.

— To nie nastąpi, — rzecze Egipcyanin z żywością. — Nie bój się; Glaukus będzie twoim małżonkiem. Lecz, gdy otrzymasz ten napój, jakim sposobem zdołasz go jemu podać?

— Mój ojciec zaprosił go na wieczerzę pojutrze; i sądzę, że będzie także na niej Neapolitanka. To mi nastroczy sposobność podania go jemu.

— To bardzo dobrze! — rzecze Egipcyanin; a tak dzika radość zajaśniała w jego spojrzeniu, że czy Julii spuściły się mimowolnie.

— Jutro wieczorem miej gotową swoją lektykę; musisz ją zapewne posiadać? .

— Bezwątpienia, — odrzekła Julia, zadowolona ze sposobności objawienia swych bogactw.

— Zapowiesz przechadzkę do oddalonej o dwie mile od Pompei gospody, którą bogaci mieszkańcy miasta odwiedzają zwykli dla wybornych kąpeli i pię-



kności ogrodów. Zmarły czy żywy towarzyszyć ci będę, i znajdziesz mię przy posągu Sylena w małym lasku otaczającym ogród; ztamtąd sam cię powiodę do czarodziejki. Pamiętaj zaczekać, aż kozy pastersza skryją się z gwiazdą wieczorną, i ponury zmrok zdolny będzie osłonić nasze kroki, aby nas nikt nie widział. Teraz powróć do siebie i bądź spokojną. Arbaces, czarnoksiężnik Egiptu, przysięga na Hadesa, że nigdy Jona nie poślubi Glauka.

— I że Glaukus będzie moim małżonkiem? — dodała Julia, jakby dla dopełnienia nieskończonej myśli.

— Tak, — odrzekł Arbaces.

Poczem Julia, przerażona prawie straszliwym zobowiązaniem się, jakie wzięła na siebie, lecz niezłomna w postanowieniu zadośćuczynienia zazdrości i nienawiści ku swej współzalatniczce, pożegnała Egipcyanina i odeszła.

Zostawszy sam jeden, Arbaces w te słowa wynurzył burze serca:

— Świetne gwiazdy, których fałsz nigdy nie splamił, jużście zaczęły spełnienie waszych obietnic. Powodzenie w miłości i tryumf nad nieprzyjaciółmi oznaczać odtąd będą bieg szczęśliwego istnienia mojego! W chwili, gdy rozum mój żadnej nie widział już drogi do dogodzenia zemście, zesłałyście mi tę piękną nierozsądną, aby mi posłużyła za narzędzie.

Tu zatrzymał się, zatapiając się w myślach głębokich; poczem rzekł znowu, lecz już spokojniejszym głosem:

— Tak jest, nie mógłbym sam dać jej trucizn zamiast napoju miłości; gdyż tym sposobem możnaby mi śmierć jego przypisać; lecz czarownica!... Tak, *ona* to jest najwłaściwszą, najprzyzwoitszą w zamysłach moich sprężyną.

Zawołał jednego z niewolników i dał mu rozkaz iść w ślad za Julią, aby odkryć jej stan i imię; potem wyszedł do portyku. Niebo było jasne, lecz oko jego, biegle w znajomości znaków poprzedzających zmiany powietrza, w ponurym obłoku ograniczającym widnokrąg i już miotanym od wiatru, poznało przepowiednię burzy.

— To jest, jak moja zemsta,—pomyślał,—niebo czyste, lecz obłok się zbliża.

## ROZDZIAŁ IX.

### Burza.—Jaskinia czarownicy.

Gdy się zaczął przesilać upał słońca południowego, Glaukus z Joną wyjechali z miasta dla użycia świeżości wieczornego powietrza. W epoce tej rozmaite pojazdy były w zwyczaju u Rzymian; te, o których na wstępie dzieła uczyniliśmy wzmiankę, zwane *biga*, używane były przez bogatych obywateli, gdy sami jedni udawali się w podróż; powóz, służący do użytku kobiet w pewnym wieku nazywał się *carpentum* i był zwykle o dwóch kołach \*); starożytni mieli także rodzaj lektyki, w kształcie obszernego krzesła przenośnego, wygodniejszej nierównie od lektyk nowożytnych, ponieważ zajmująca ją osoba mogła położyć się i uniknąć tym sposobem ciągłych wstrząśnień, przykrzejszych nierównie w położeniu pionowem \*\*.)

---

\*) Na publiczne uroczystości i inne igrzyska, damy rzymskie używały kosztowniejszych i wygodniejszych powozów o czterech kołach, które się nazywały *pilentum*.

\*\*.) Starożytni mieli jednak i *sellae*, w których można było tylko siedzieć.

Był jeszcze inny pojazd, którego używano do podróży, lub do wiejskich przechadzek; urządzenie jego było wygodne, mieścił w sobie z łatwością trzy lub cztery osoby i miał nakrycie, które się dowolnie spuszczać i podnosić mogło; słowem, był to powóz tak zwany *carruca* i podobny, z pewną odmianą, do naszych nowożytnych koczów. W takim to powozie kochankowie podróżowali w tej chwili w towarzystwie niewolnicy Jony. O dziesięć mil od miasta znajdowały się zwaliska świątyni, widocznie greckiej architektury; a że Glaukus i Jona uwielbiali wszystko, cokolwiek greckie miało pochodzenie, postanowili więc odwiedzić razem ten starożytny zabytek.

Zrazu przebywali gaje winnic i drzew oliwnych, lecz gdy zbliżyli się ku wznioślejszym pasom Wezuwiusza, droga ich stała się trudniejszą; zwolna i z trudnością postępowały muły. W każdej przerwie lasu, wzrok ich uderzały opalone skały z owemi szaremi jaskiniami, które opisał Strabon, a które teraz skutkiem zapewne czasu i rozlicznych wstrząśnień Wulkanu, widzialnemi być przestały. Co chwila rozlegały się jeszcze w gęstwiach brzozy i dębu dzikiego dźwięki wiejskiej fujary pasterza. Co chwila wpadała w oczy rażna postać kozy, zwanej *capella*, o miękkim jak jedwab włosie, o pokrzywionym rogu, o szarem lecz świetnem oku; zwierzę to, skubiąc trawę na pochyłościach góry, dziś jeszcze w Auzonii przypomina pasterskie śpiewy Wirgiliusza. Winne grona czerwieniły się pomiędzy wijącemi się od drzewa do drzewa splotami bluszczu. Nad ich głowami ukazy-



wały się na czystem niebie posuwające się zwolna po widnokregu lekkie obłoki; a z prawej strony spostrzegali tu i owdzie przez przerwy lasu spokojną powierzchnię morza, i unoszące się na jego łonie lekkie łądzie, o które przy słonecznych promieniach odbijały się łagodne odcienie barw niezliczonych, właściwych temu rozkosznemu morzu.

— Jak piękne jest to imię *matka*, które dajemy ziemi—rzecze Glaukus do Jony. — Z jak czułą i jednostajną miłością obdarza ona swe dzieci! Nie szczędzi uśmiechu dla tych nawet bezżyźnych okolic, którym przyrodzenie wszelkiej odmówiło piękności. Patrz na ten bluszcz i winną latorośl, któremi osłania grunt suchy i przepalony zgasłego Wulkanu! Ach! w takiej to właśnie chwili i w takim miejscu widziećby należało między splotami zieleności śmiejącą się twarz Fauna, lub przesuającą się przez gęstwinę lasu lekką postać Nimfy gór. Lecz, piękna Jono, kiedy się ukazałaś na ziemi, Nimfy już ją przestały nawiedzać.

Przybyli do rozwalin; zastanawiali się nad niemi z tą czułością, jaką wznecają święte zabytki miejsc, w których żyli przodkowie; a gdy na różowym niebie ukazał się Hesperus i dzień skłaniał się ku schyłkowi, zaczęli się wybierać do powrotu; lecz od-tąd już prawie zaniechali rozmowy, bo w cieniu i przy blasku gwiazd byli jakby odurzeni wzajemną miłością.

W tej chwili nadeszła burza, którą przewidywał

Egipcyanin. Zrazu oddalony huk grzmotu zapowiedział walkę żywiołów, a czas niejaki pozornej ciszy, poprzedził pociski gromów z chmur nad ich głowami skupionych. Nagłe powstawanie burz w tym klimacie zdaje się mieć coś nadprzyrodzonego, i dziwić się nie należy, że przesąd przypisał je władzy bogów. Kilka bujnych kropel deszczu upadło ciężko przez spojone nad drogą gałęzie, poczem zaledwie nie oślepił podróźnych naszych nadzwyczajny blask widłowej błyskawicy, po której większa we dwójnasób panować zdawała się ciemność.

— Pośpieszaj—rzekł Glaukus do woźnicy—burza nadchodzi gwałtownie.

Niewolnik poganiał, muły biegły szybko po nierównej i kamienistej drodze; a tymczasem gęstniały chmury, coraz bliżej padały gromy i deszcz obfitemi lał potokami.

— Czy się lękasz—rzekł Glaukus, zbliżając się do Jony pod pozorem natchnienia jej odwagę.

— Nie, gdy jesteś przy mnie—odpowiedziała łagodnie.

W tej chwili powóz słaby i źle zbudowany, jak wszystkie w owych czasach podobne wynalazki, w których trwałość zazwyczaj poświęcano piękności, wpadł w głęboką jamę, przegrodzoną w połowie pniem drzewa wyróconego. Woźnica, przeklinając zawadę, silnie poganiał muły; gwałtowne ich jednak usiłowanie ten tylko zrządziło skutek, iż się zerwało koło i powóz nagle został wyrócony.

Glaukus powstał szybko i pośpieszył na ratunek

Jony, która szczęściem żadnego nie poniosła szwanku. Z niemalą trudnością podnieść zdołali pojazd, lecz przekonali się, że już w nim nawet ochrony od deszczu znaleźć nie było można; złamały się sprężyny, utrzymujące pudło, i woda lała się obficie do środka.

Co czynić w tem położeniu? Od miasta jeszcze daleko, a blisko nie było schronienia, ani pomocy.

— O milę ztąd mieszka kowal—rzekł niewolnik; — mógłbym pobiedz po niego, aby przynajmniej utwierdził koło karruki; lecz, na Jowisza! ten deszcz tak gwałtowny przemoczy moją panią, nim zdołam powrócić.

— Udaj się tam jednak—rzekł Glaukus — a my tymczasem schronimy się jak można przed słońcem.

Glaukus powiódł Jonę pod najrozłożystsze gałęzie drzew, które ocieniały drogę. Chciał ją nadto własnym osłonić płaszczem, lecz lejąca się potokami woda wszystko przemaczała do gruntu; poprzestał więc na cśmieleniu jej nadzieją bliskiego końca burzy, gdy nagle piorun ugodził w najbliższe drzewo i rozplątał na dwoje szeroki pień jego. Przypadek ten ostrzegł ich o niebezpieczeństwie, na jakie narażeni byli w obranem schronieniu; Glaukus z niespokojnością oglądał się wokoło, aby mniej niebezpieczny upatrzeć przytułek.

— Jesteśmy teraz w połowie wysokości Wezuwiusza. Niepodobna, aby tu nie było jakiego schronienia opuszczonego przez Nimfy, jakiej jaskini, jakiej groty w tych skałach, okrytych winnicami. O gdybyśmy mogli je znaleźć!

Mówiąc to oddalił się nieco od drzew i, rzucając chciwym wzrokiem na górę, spostrzegł w malej, na pozór, odległości przebijające się przez ciemność drżące czerwone światło.

— To światło — rzekł — pochodzić musi z ogniska jakiego pasterza lub winobrańca, i wskazywać nam zdaje się drogę do gościnnego przytułku. Czy chcesz tu pozostać, gdy ja tymczasem?... Lecz nie, nie... byłabyś wystawioną na niebezpieczeństwo.

— Chętnie udam się z tobą — rzekła Jona — wolę wystawić się na deszcz, jak pozostać pod zdradliwą ochroną tych drzew.

Głaukus, już prowadząc, już niosąc Jonę, udał się ku światłu. Rychło znaleźli się w odkrytej przestrzeni, lecz zarośle dzikiej winnicy utrudzały ich kroki i kryły promień światła, do którego zmierzali. Deszcz wzmagał się bezustannie, a błyskawice coraz straszliwszą i niebezpieczniejszą przybierały postać. Ciągłe jednak postępowali w kierunku światła, które w przerwach zarośli znowu się ukazywać zaczęło, i nie tracili nadziei, że natrafią w końcu na jaką chatę lub ochronną jaskinię. Nagle deszcz ustał, przechodnie nasi znaleźli się na utworzonej z lawy stromej pochyłości, której postać jeszcze okropniejszą się zdała przy blasku gromu, oświecającego ten grunt ponury i niebezpieczny. Co chwila ogień z chmur spadał na masę zastygłej piany stopionego żelaza, gdzieś niedzie okrytej mchem i karłowatymi drzewami, jak gdyby grom nieba szukał naprózno godniejszych gniewu swojego utworów ziemi; niekiedy cała ta



przestrzeń pograżała się w ciemności, a szerokie i jaskrawe błyskawice jaśniały nad Oceanem, zdając się rozpalać jego powierzchnię; tyle zaś rzucały blasku żywego światła, iż oko widziało wyraźnie najodleglejsze zakręty odnogi, od odwiecznej Mizeny aż do pięknej Sorrenty i okrywających ją gór olbrzymich.

Nasi kochankowie zatrzymali się przejęci obawą i niepewnością, gdy nagle w jednej z przerw ciemności, przedzielających błyskawice, ujrzeli nie zbyt daleko, chociaż w znacznej wysokości, tajemnicze światło. Nowa błyskawica, od której zaczerwieniło się niebo i ziemia, pozwoliła im rozpoznać całą okolicę. Nie było żadnego domu, lecz w miejscu, w którym ukazywało się światło, zdało się, iż przy wnijsciu do jaskini przebiegały się zarysy ludzkiej postaci. Ciemność wróciła znowu, a promień światła, którego już ogień z nieba nie znosił, znowu uderzył ich oczy; postanowili zbliżyć się do tego miejsca, lecz aby tego dokazać, trzeba było przedzierać się przez szerokie odłamy skał, tu i owdzie zarosłych dzikimi krzewami; coraz jednak więcej zbliżali się ku światłu, i w końcu znaleźli się u wnijscia pewnego rodzaju jaskini, utworzonej z grubych brył kamieni, poprzecznie leżących. Rzuciwszy wzrokiem do środka, oboje cofnęli się mimowolnie, przejęci przesadną trwogą i zdziwieniem.

W głębi jaskini palił się ogień, a nad nim był mały kocioł. Lampa grubej roboty stała na niskiej kolumnie z żelaza. Na ścianie, przy której był ogień, wisiały w obfitych splotach, jakby dla wysu-

szenia, nieznane zioła. Leżący przed ogniskiem lis zwrócił na przychodniów czerwone i zaiskrzone oczy; sierść jego najeżyła się a głuche mruczenie rozległo się w paszczęce. W środku jaskini stał posąg z gliny o trzech dziwacznych głowach; były to czaszki psa, konia i dzika; przed tem tak dziwnem wyobrażeniem Hekaty postawiony był niski trójnóg.

Jednakże nie jaskinia i umieszczone w niej sprzęty, lecz postać zamieszkującej ją istoty największą serca kochanków przejęła odrazą. Stara, zgrzybiała kobieta siedziała przed ogniem, którego blask w pełni odbijał się o jej oblicze. Zdaje się, że niema kraju na świecie, w którymby tak wiele napotykało się brzydkich starych kobiet i gdzieby wiek zamieniał piękność na tak ohydłą i odrażającą szpetotę, jak we Włoszech. Lecz kobieta, która się w tej chwili oczom ich ukazała, nie była jednym z owych wzorów szpetności ludzkiej; przeciwnie, fizyonomia jej przedstawiała zabytki regularnych, szlachetnych i wydatnych rysów; ale z nieruchomych jej oczu podniosło się prawdziwie trupie spojrzenie, które niewysłowioną trwogą przejęło przechodniów naszych. Oczy zimne i pozbawione blasku, sine i wpadłe usta, wklęsłe policzki, blada siwizna spłaszczonych i bez żadnego połysku włosów, cera wybladła, zielonawa i obdarta ze wszelkiej barwy życia, słowem wszystko zdawało się ukazywać mieszkankę grobu.

— To nieożywiona istota—rzekł Glaukus.

— Nie... porusza się... To widmo albo mara—

odpowiedziała Jona drżącym głosem, tuląc się do Ateńczyka.

— Ach! oddalmy się ztąd! — rzekła niewolnica tonem przerażenia; — to czarownica Wezuwiusza.

— Kto jesteście i po co tu przybywacie? — odezwał się głos ponury i chrapowaty.

Na ten dźwięk grobowy, podobny do głosu mary, wracającej z nadbrzeżów Styxu, Jona gotową była wystawić się raczej na całą zjadłość burzy; lecz Glaukus wciągnął ją do jaskini, jakkolwiek sam niezupełnie wolnym był od obawy.

— Jesteśmy mieszkańcami bliskiego miasta. Zaskoczeni przez burzę i sprowadzeni w to miejsce widokiem światła, zdaleka przez nas dostrzeżonego, prosimy cię o schronienie przy tem ognisku.

Gdy to mówił, lis powstał i zbliżył się do nieznanomych, ukazując białe zęby i wydając silniejsze jeszcze dźwięki mrużącej swej groźby.

— Leź! niewolniku! — krzyknęła czarownica.

Na ten głos zwierzę ułożyło się na swem miejscu i zwróciło iskrzące oczy na tych, którzy przybyli zakłócić jego spoczynek.

— Zbliźcie się do ogniska, jeżeli tego chcecie — rzekła dalej czarownica, zwracając mowę do Glauka i towarzyszki jego; — nie mam zwyczaju przyzywać w to miejsce żadnej żyjącej istoty, prócz sowy, lisa, ropuchy i źmii, nie ofiaruję wam przeto gościnności, lecz możecie się i bez tego rozgościć...

Czarownica mówiła popsutą i barbarzyńską łaciną, pomieszaną z wyrazami dawniejszego i bardziej

jeszcze nieokrzesanego języka. Glaukus zdjął z Jony odzież zewnętrzną i, umieściwszy ją na pniu drzewa, jedynem, jakie mógł znaleźć siedzeniu, zaczął rozdymać ustami ostatki gasnącego ognia. Niewolnica, ośmielona odwagą swych panów, zdjęła także długi płaszcz (*pella*) i z drugiej strony zbliżyła się bojaźliwie ku ognisku. Przez cały ten czas czarownica nie ruszyła się z miejsca, lecz przyglądała się bacznie przychodniom.

— Boję się, abyśmy ci nie sprawili przykrości— rzekła Jona swym dźwięcznym głosem.

Czarownica milczała i podobną była do osoby, która, przebudziwszy się na chwilę z uśpienia śmierci, wpadła znowu w sen wieczny.

— Powiedzcie mi— rzekła nagle po długim milczeniu— czyście bratem i siostrą?

— Nie— rzekła Jona z zapłonieniem.

— Czyście małżonkowie?

— Ani to także— odpowiedział Glaukus.

— Jesteście więc kochankami! Ha! ha! ha! — ozwała się czarownica, śmiejąc się tak długo i tak głośno, że aż echo rozległo się po jaskini.

Mróz przeszedł po sercu Jony, Glaukus wymówił zeicha słowa używane do odwrócenia złego uroku, a niewolnica stała się tak bladą, jak sama czarownica.

— Dlaczego się tak śmiejesz, stara kobieto? — zapytał w końcu Glaukus tonem surowym.

— Alboż się śmiałam?...— odrzekła czarownica.

— Ona jest obłąkana— mówił zeicha Glaukus;



czarownica zwróciła nań pełne ognia i złości spojrzenie.

— Kłamiesz!—zawołała nagle.

— Pamiętaj, coś winna gościnności...

— Nie rozdrażniaj jej, kochany Glauku—rzekła mu Jona do ucha.

— Powiem wam, dlaczego się śmiała, gdy dowiedziałam się żeście kochankami — rzekła stara; — oto, że osobom podeszłym i okrytym zmarszczkami przyjemnie widzieć tak młode serca i mieć to przekonanie, że kiedyś nienawiścią ku sobie pałać będziecie... Tak jest, będziecie się nienawidzić... Ha! ha! ha!

W tym razie kolej była na Jonę prosić bogów o odwrócenie złego proroctwa.

— *Di avertite omen!* Niech nas od tego ochronią bogowie! zdaje się, moja biedno kobieto, że bardzo mało znasz się na miłości, albowiem wiedziałabyś, że uczucie to nie podlega zmianie.

— Czy myślisz, że nigdy nie była młodą — odpowiedziała z żywością czarownica, a teraz nie jestemże starą, odrażającą, grobową? Taką jest nasza budowa, takim jest i serce.

Wyrzekłszy te słowa, wpadła znowu w tak głuche, w tak okropne milczenie jak osoba nagle z siły życia wyrzuta.

— Czy dawno zamieszkujesz to miejsce?—spytał się w końcu Glaukus, w jedynym celu przerwania zbyt nieznośnego milczenia.

— O! tak... bardzo dawno!

— Smutne to mieszkanie.

— Mam słusznąśność mówić, że smutne; piekło jest pod naszymi nogami—odpowiedziała czarownica, ukazując ziemię wychudłym swym palcem;—słuchaj mię, powierzę ci tajemnicę: ciemne istoty zamieszkujące to piekło, grożą wam swoim gniewem; tak jest, wam, coście tak młodzi, tak niebaczni, tak piękni

— Zawsze wykraczasz przeciw gościnności — powiedział Glaucus—i odtąd przeniosę raczej burzę, niżbym miał wejść do ciebie.

— Dobrze uczynisz. Prócz nieszczęśliwych nikt mię nie powinien odwiedzać.

— Dlaczegożby cię odwiedzali nieszczęśliwi?

— Jestem czarownicą góry—odpowiedziała stara z okropnym uśmiechem; powołaniem mojem obdarzać nadzieją tych, którzy ją postradali; dla nieszczęśliwych kochanków mam napoje miłosne, dla skąpców obietnice skarbów; dla złych napoje zemsty; dla dobrych zaś i szczęśliwych posiadam to tylko co i bezzemnie napotyka ich w życiu — przekleństwo!... Nie naprzykrzaj mi się więcej.

To rzekłszy, straszliwa mieszkanka jaskini wpadła w tak uporcezywe milczenie, iż wszystkie usiłowania Glauka, aby wznowić rozmowę, żadnego nie odniosły skutku. Nie widać nawet było na jej surowych i wydatnych rysach żadnego znaku, któryby był skazówką, iż słyszała, co mówił. Szczęściem burza była tak krótką jak gwałtowną; już się zmniejszała jej siła, deszcz się stopniowo uśmierzał, a gdy rozeszły się chmury, ukazał się księżyc na ciemnym

niebios błękitcie i żywe rzucił światło na to posepne mieszkanie; lecz nigdy może jeszcze nie oświecał zbioru osób tak godnego sztuki malarza; młoda, piękna Jona siedziała przy prostym ognisku; u nóg jej był Kochanek, który zdawał się zapominać nawet o obecności czarownicy i, nie spuszczać oczu z jej twarzy, powtarzał cichym głosem pełne słodczy wyrazy; blada i strwożona niewolnica stała w niejkiej odległości, gdy tymczasem straszna czarownica przyglądała się im złowieszczem spojrzeniem. Lis, z kątku swego, zwracał się do nich żywym i jaśniejącym wzrokiem, a gdy się Glaukus obrócił ku czarownicy, spostrzegł po raz pierwszy pod jej siedzeniem zaiskrzone oczy i potworną głowę ogromnego węża; bądź że go rozdrażniła żywość kolorów płaszcza Ateńczyka, którym Jona była okryta, bądź z innej niewiadomej przyczyny, wzdał się grzbiet jego z groźącą postawą, i zdawał się chcieć rzucić na Neapolitankę. Glaukus pochwycił natychmiast głównię, ale wąż z zajadłością wylazł ze swej kryjówki i, wydając głośne sykanie, podniósł się tak wysoko, iż prawie głowy Greka dosięgał.

— Czarownico!—zawołał Glaukus—oddal tego węża—albo go zabiję natychmiast.

— On jest pozbawiony jadu — rzekła obudzona tą groźbą czarownica; ale nim jeszcze wyrzekła te słowa, już się wąż rzucił na Glauka.

Zwinny i baczny Grek odskoczył na bok, i tak silny wymierzył cios w głowę płazu, iż ten padł martwy na popioły ogniska.

Czarownica porwała się z siedzenia, i stanęła przed Glaukiem z twarzą godną najokrutniejszej ję-dzy, tyle w niej malowało się złości i gniewu. Po-czem, głosem, którego powolność i cisza dziwnie od-bijały się od wyrazu jej rysów, rzekła:

— Znalazłeś przytułek pod moim dachem i grza-łeś się przy mojem ognisku; zapłaciłeś złem za dobre; uderzyłeś, a możeś i zabił istotę, która mię kochała i była moją własnością; dodam jeszcze, stworzenie więcej nad inne ulubione przez bogów i szanowane przez ludzi \*); teraz słuchaj, jak ukaranym zosta-niesz. Przez księżycą, opiekującego się czarodziejką, przez Orkusa, nie szczędzącego gniewu, przeklinam cię i jesteś przeklęty! Oby zwiędła twa miłość, oby imię twoje okryło piętno hańby, oby dosięgły cię po-ciski czartów piekielnych; bodajby serce twoje spali-ło się i uschło, a ostatnia godzina przywiodła ci na pamięć głos prorocki czarnoksiężniczy Wezuwiusza! Ty zaś...—dodała, otracając się żywo ku Jonie i pod-nosząc prawą rękę, lecz Glaukus przerwał jej, mó-wiąc:

— Wstrzymaj się, czarownico! przekłętaś mię, lecz ja oddaję się bogom; nie lękam się i pogardzam tobą; jeżeli jednak p wazysz się wyrzec słowo prze-ciw tej młodej dzi wczynie, pierwsze zlorzeczenie twoje zamienię na jej i konania... Strzeż się!

---

\*) Rzymianie jak wszystkie ludy starożytności, wyłączną świętość przywiązywali do węzów. Mieli je ułaskawione w swych domach i przypuszczali nawet do swego stołu.



— Skończyłam—powiedziała czarownica z wybuchem dzikiego śmiechu — albowiem z przeklętym twym losem połączy się także los kobiety, która cię kocha; tem zaś pewniejszą jestem ziszczenia klątwy, że usta jej wyrzekły twoje imię i że wiem teraz, jakim wyrazem poświęcić cię czartom. *Glauku*, jesteś przeklęty!

To rzekłszy, czarownica ukłękła przy zranionym swym przyjacielu, wywlokła go z ogniska i już odtąd nim była zajęta.

— O, *Glauku*! — rzekła Jona z największym przestrawieniem—cóżemy uczynili? Śpieszmy opuścić to miejsce. Burza już ustała. Dobra pani, przebacz mu; cofnij twe słowa; wszakże on tylko się bronił; przyjmij tę ofiarę pokoju dla okupienia rzuconej klątwy.

To rzekłszy, położyła na kolanach czarownicy worek z pieniędzmi.

— Oddalcie się—odpowie z goryczą; same tylko Parki odwołać mogą raz wyrzeczone zaklęcie... Oddalcie się!

— Pójdź. moja ulubiona—rzekł *Glaukus* z niecierpliwością;—czyż mniemasz, że bogowie niebios lub piekiel zwazać będą na niedoleżny gniew obłąkanej starości?... Pójdź!

Echa jaskini powtarzały długi czas okropny śmiech czarownicy; nie raczyła odpowiedzieć inaczej.

Kochankowie wolniej zaczęli oddychać, gdy się na otwartem znaleźli powietrzu, lecz scena, której byli świadkami, mowa i wybuchy śmiechu czarownicy wielkie na umyśle Jony uczyniły wrażenie, od

którego i Glaukus nie był zupełnie wolnym. Burza już była przeszła; zaledwie po długich przerwach rozlegał się oddalony huk grzmotu, a światło błyskawic kiedy niekiedy tylko wyzywało do walki władzę księżycą. Z niemałą trudnością przeprawić się zdołali do drogi, gdzie znaleźli już naprawiony powóz i woźnicę głośno wyzywającego Herkulesa, aby go zawiadomił, w co się obrócili jego panowie.

Glaukus napróżno usiłował rozweselić Jonę, a nawet isam nie zdołał odzyskać zwykłej spokojności umysłu. Rychło przybyli do bramy miasta, przez którą w tej właśnie chwili niewolnicy przynosili lektykę.

— Niewolno wychodzić z miasta — zawołał do znajdującej się w lektyce osoby żołnierz, trzymający straż bramy.

— Zakaz ten mnie się nie tyczy — ozwał się głos, który kochankowie poznali natychmiast z przeżeniem; — udaję się do domu wiejskiego Marka Polibiusza. Rychło powrócę; i jestem Arbaces z Egiptu.

Lektyka przeszła mimo pojazdu, w którym się znajdowali kochankowie, bo imię Arbacesa rozbroiło surowość żołnierza.

— Arbaces, o tej godzinie!... zaledwie wracający do zdrowia... Dokąd się udaje, jaki powód zniewała go do podróży za miasto? — rzecze Glaukus.

— Niestety! — odpowie Jona, lejąc łzy — dusza moja coraz silniej poddaje się przeczuciom nieszczęścia. Zachowajcie nas, o bogowie! albo przynajmniej — dodała cichym głosem — zachowajcie mojego Glauka!



## ROZDZIAŁ X.

**Pan o płomienistym pasie i jego powiernica.—Proroc-  
two w charakterze czerwonym; lecz kto je przeczyta?**

Arbaces czekał końca burzy, aby osłoniony cieniem nocy mógł udać się do czarownicy Wezuwiusza. Niesiony przez najwierniejszych niewolników, którym się zwykle powierzał w swych tajemnych wycieczkach, leżał w lektyce i słodką napawał się myślą, że już bliską była chwila nasycenia jego miłości i zemsty. W tak krótkiej przechadzce, niewolnicy szli przyśpieszonym krokiem i rychło zbliżyli się do małej ścieżki, której kochankowie nasi nie znali, a która okrążając winnice, w prostej linii wiodła do mieszkania czarownicy. Tu kazał zatrzymać się niewolnikom i ukryć się wraz z lektyką w zaroślach, aby nie zostali spostrzeżeni przez żadnego z przechodniów, któregooby przypadek sprowadził w to miejsce; sam tymczasem, wsparty na kij, udał się osłabionym krokiem w posępną i przykrą drogę.

Ani kropli nie było już deszczu, ale woda, zebrana na liściach drzew, ściekała na ziemię, tworząc

tu i owdzie małe kałuże w bruzdach i wklęsłościach skalistej ścieżki.

— Dziwne, jak na filozofa, namiętności — rzekł do siebie Arbaces — wywiodły mię z łoża boleści, mnie, com przywykł do wszystkich rozkoszy zbytku, i zniewoliły nocną porą przebywać podobną drogę... Lecz gdy miłość i zemsta zbliżają się do celu, mogą snadnie przemienić Tartar w Elizejskie ogrody.

Księżyc wyniosły, jasny i melancholiczny błyszczał nad drogą, którą szedł ponury przechodzień; blask jego odbijał się o każdą kałużę wody i znikał w cieniu osłaniającym pochyłość góry. Egipcyanin spostrzegł to samo światło, które przed chwilą przewodniczyło dwojgu kochankom; lecz było mniej czerwone i żywe, ponieważ już nie taka otaczała je ciemność.

Przy wnijsciu do jaskini, zatrzymał się dla odechnienia, poczem przeszedł bezbożny próg z właściwą sobie spokojną i wspaniałą postawą.

Lis podniósł się szybko i długiem mručeniem dał znak swej pani o przybyciu nowego gościa.

Czarownica siedziała znowu na swoim miejscu, a na jej twarzy panowała złowieszcza cisza. U nóg jej zraniony wąż leżał na kupie ziół suchych; rychło wzrok przenikliwy Egipcyanina spostrzegł jaśniejącą przy blasku ogniska łuskę gadu, który kręcił się i wił bezustannie, wyrażając tym sposobem swą boleść gniew zawiedziony.

— Pójdź precz, niewolniku! — rzekła czarownica



do lisa; nieme, lecz czujne zwierzę układło się znowu na ziemi.

— Powstań, sługo Nocy i Erebu — rzekł Arbaces tonem władzy; — przełożony w twej sztuce wita cię! powstań, aby go przyjąć.

Na te wyrazy, czarownica skierowała oczy na wyniosłą postawę i posępne obicze Egipcyanina a spostrzegłszy jego ubiór wschodni, ręce złożone na piersiach i dumne czoło, baczenie mu przypatrywać się zaczęła, zachowując długie milczenie.

— Kto jesteś? — rzekła nakoniec, ty, co się mnieśz bieglejším w sztuce czarnoksiężtwa, niż *Saga* pół flegreńskich, ostatni odrostek zgasłego plemienia Etrusków?

— Jestem — odpowiedział Arbaces — ten, od którego z pokorą odbierali nauki wszyscy, ćwiczący się w czarnoksiężtwie, od północy do południa, od Wschodu do Zachodu, od Gangesu do Nilu, od dolin Tessalii aż do brzegów złotego Tybru.

— Jeden jest tylko podobny człowiek w tych miejscach — odpowiedziała czarnoksiężnica; — i jest to ten, którego mieszkańcy świata powierzchniowego, nieświadomi wznioślejszych przymiotów i skrytej jego sławy, mianują Arbacesem z Egiptu. Dla nas jednak, głębsze posiadających wiadomości, prawdziwego imię jest Hermes o płomienistym pasie.

— Patrz baczenie — odpowiedział Arbaces — masz przed sobą tego człowieka.

To mówiąc, uchylił sukni i ukazał pas, zdający

się być z ognia, którego płomienie obwijały stan jego, a który spinała sprzączka; na niej wyryty był rysunek, na pozór żadnego nie mający znaczenia, widocznie jednak zrozumiały dla czarownicy, gdyż ujrawszy go, powstała natychmiast i upadła do nóg Arbacesa.

— Ujrzałam cię więc — rzekła głosem największej pokory — panie przemożnej przepaski; racz przyjąć mój hołd!

— Powstań — rzekł Egipcyanin — jesteś mi potrzebna.

To mówiąc, usiadł na pniu, na którym niedawno spoczywała Jona, i dał znak czarownicy, aby także usiadła.

— Utrzymujesz — rzekł dalej — że pochodzisz ze starożytnych pokoleń Etrusków \*), których olbrzymie mury, otaczające ich miasta, dziś jeszcze patrzą z pogardą na rozbójnicze plemię przywłaszczycieli ich królestwa. Pokolenia te wyszły w części z Grecyi, w części zaś składały się z wygnańców górętszego klimatu i starożytniejszej jeszcze krainy. W obu razach jesteś z pochodzenia Egipcyanką; albowiem panowie greccy aborygeńskich wyspiarzy byli częścią burzliwych dzieci, które Nil wygnał ze swych nadbrzeży. Pochodzisz więc, o Sago, od przodków, którzy byli poddanymi moich, i tak z urodzenia jak ze swej sztuki winnaś posłuszeństwo Arbacesowi; słuchaj, co ci mam rozkazać.

---

\*) Wiadomo powszechnie, że Hetruskowie słynęli z czarów.

Czarownica skinęła głową.

— Jakkolwiek jest nieograniczoną umiejętność nasza w sztuce czarnoksięskiej — rzekł dalej Arbares — częstokroć zmuszeni bywamy uciekać się do naturalnych sposobów, aby cel zamierzony osiągnąć. Ani daktylomancya, ani krystalomancya, ani tefromancya, ani botanomancya \*) nie zawiera wolnych od wszelkich błędów przepowiedni; posiadający nawet wznioślejsze nierównie tajemnice księżyca nie jest zawsze tak pewnym siebie, aby dla osiągnięcia ludzkiego celu nie potrzebował nigdy chwycić się ludzkich sposobów. Wysłuchaj mię więc uważnie. Sądzę, że wyłączną posiadasz biegłość w znajomości przymiotów ziół jadowitych, znasz zapewne te, które wstrzymują bieg życia, palą i trawią duszę, zniewalają ją opuścić swe więzienie, lub które tak silnie oziębiają krew młodzieńczą, iż, skrzepla w swych kanałach, na żadnem słońcu już się rozpuścić nie może. Nie trzymałem zbyt wysoko o twej umiejętności? odpowiedz mi szczerze.

— Przemożny Hermesie, właśnie tej się poświęcam umiejętności. Racz tylko rzucić wzrokiem na te wybladłe i trupie lica, odbiegła je barwa życia przez to jedynie, że zwykle oddycham wyziewami jadowitych roślin, które się warzą w tym kotle.

Egipcyanin oddalił się mimowolnie od tak niezdrowego sąsiedztwa.

— To dobrze — rzekł; — trzymasz się owej ma-

---

\*) Nazwania rozmaitych gałęzi czarnoksięztwa.

ksynny głębokiej mądrości, która mówi: pogardzaj ciałem, gdy duszę obdarzasz mądrością. Zważaj więc, coś winna uczynić. Jutro, gdy gwiazdy zajaśnieją na niebie, odwiedzi cię młoda dziewica pełna próżności i prosić będzie o napój miłosny, którego mocą zdołałaby oczy kochanka odwrócić od współżalotniczki ku sobie; zamiast napoju miłości trzeba jej podać jedną z najdzielniejszych twych trucizn. Ja chcę, aby ów kochanek wdychał tylko w krainie cieniów.

Czarownica wstrząsnęła się od nóg do głowy.

— O! przebacz, przebacz, straszliwy panie—zawołała głosem zmienionym;—ja tego nie śmiem uczynić. Prawa tych miast są surowe i czujne; oni mię pochwyćą i zamordują.

— Do czegoż ci więc służą twe zioła i napoje, niedoleżna czarnoksiężnico? — rzecze Arbaces tonem szyderstwa.

Czarownica okryła rękami ohydłą twarz swoją.

— Przed wieloma laty — rzekła odmiennym od zwykłego brzmienia, płacziwym i łagodnym tonem głosu, ja nie byłam istotą, jaką mię teraz widzisz... Kochałam i mniemałam się być nawzajem kochaną...

— I cóż mieć może wspólnego miłość twoja z tem, co ci rozkazałem uczynić?—rzekł Arbaces z gniewem.

— Bądź cierpliwy — odpowiedziała czarownica —zaklinam cię. Kochałam! Inna mniej piękna ode mnie... tak jest, niech to przyświadczy Nemezis, uwiodła mojego ulubieńca. Należałam do pokolenia, któ-



re ze wszystkich plemion Etruryi najlepiej się znalazło na tajemnicach nekromancyi. Matka, moja, posiadająca tę umiejętność, podzieliła gniew córki; z jej ręki otrzymałam napój, który miał mi powrócić serce kochanka; jej także ręka podała mi truciznę, przeznaczoną do zniszczenia siły żywotnej mojej współzalatniczki. O! niech mię skruszą te sklepienia! Drżąca ręka moja pomyliła się w podaniu napoju; kochanek padł w samej rzezy u nóg moich... lecz zmarły, zmarły na wieki! Odtąd już niezem było dla mnie to życie. Zestarzałam się nagle i poświęciłam się czarnoksiężtwu mojego plemienia, lecz idąc za niewyciężonym popędem, zadałam sobie okropną pokutę wywarzania ziół najszkodliwszych i wyciągania z nich trucizn. Zdaje mi się, że je podaję obrzydłej współzalatniczce; wlewam je do flaszki; wyobrażam sobie, że w proch jej piękność obróca; potem przebudzam się i widzę przed sobą spienioną usta, wygasłe oczy i drżące ciało mojego Aulusa, którego sama zamordowałam!

Okropne konwulsye opanowały wychudłe ciało czarownicy.

Arbaces przyglądał się jej wzrokiem, wyrażającym razem ciekawość i wzgardę.

— I ta poniżona istota doświadcza jeszcze wzruszeń ludzkich—rzekł do siebie; — ogień pożerający Arbacesa tli się i w popiołach jej serca! Wszyscyśmy więc do siebie podobni! Namiętności śmiertelnych są tajemniczym łańcuchem, jednoczącym największego z najmniejszym.

Czarownica chwiała się na swym stołku; oczy jej wlepione były w płomień gorejącego ogniska, a lzy obfite skrapiały wywiędłe jej lica. Arbaces nie rychlej przemówił, aż gdy odzyskała cokolwiek spokojności.

— Powieść twoja jest smutną, to prawda, lecz podobne wzruszenia przystoją tylko młodości; wiek zwykł hartować serce nasze. Jak każdy rok nową dodaje skorupę muszli, tak również i serca ludzkie nową otaczać zwykł tarczą. Nie myśl więc o tych nedorzecznosciach i wysłuchaj mię raz jeszcze! Na tę tak drogą dla ciebie zemstę, rozkazuję ci być mi posłuszną! Wszakże dla zemsty potrzebna mi twoja władza!... Ów młodzieniec, którego chcę z drogi mojej uprzątnąć, mnie i moją sztukę znieważył. Ta lalka uśmiechająca się i czule rzucająca spojrzenia, okryta purpurą i haftami, nie posiadająca innego prócz piękności przymiotu! ten robak, ten Glaukus, przysięgam ci na Orkusa i Nemezis, umrze!

Egipcyanin, którego wściekłość wzmagała się po każdym słowie, zapominając o swej słabości, o dziwnej istocie, z którą mówił, o wszystkim nakoniec, wielkimi krokami przebiegał posępną jaskinię.

— Tyś wymienił Glauka, możny panie?—zawołała nagle czarownica, a zgasłe jej oko zajaśniało niezwykłym ogniem na imię, przypominające jej świeżo otrzymaną zniewagę.

— Tak jest, to jego imię; lecz co tu stanowi imię? Chcę, aby ten, co je nosi, w trzech dniach już nie należał do liczby żyjących.

— Wysłuchaj mię — rzekła czarownica po krótkim namyśle. — Jestem twoją niewolnicą! Lecz jeżeli podam dziewczynie, o której mówisz, to, co życia Glauka pozbawi, zostaną niewątpliwie wysledzoną; umarli zawsze znajdują mścicieli. Powiem więcej, straszliwy człowieku; jeżeli wiadomem będzie, żeś mię odwiedzał, jeżeli znaną jest nienawiść twoja dla Glauka, zalewaj całą moc czarów twoich obronić cię samego potrafi.

— Ach! — zawołał, jakby nagle przebudzony Arbaces; tak go bowiem zaślepiała namiętność, iż pomimo właściwą sobie przezorność dotąd nigdy się jeszcze nie zastanowił nad tem, jakim ten rodzaj zemsty mógł mu grozić niebezpieczeństwem.

— Lecz jeżeli zamiast trucizny — powiedziała dalej czarownica — użyję napoju, osuszającego mózg, jeżeli go uczynię niezdolnym do zwykłych działań życia, pozbawionym myśli i zdania, słowem, upośledzoną istotą, czyż nie osiągniesz zamierzonego celu, czy nie będzie nasyconą twoja zemsta?

— O, wielka czarnoksiężnico, już nie sługo, lecz siostrzo, współtowarzyszko Arbacesa; o, jak dalece dowcip kobiety jest wyższym nad męski, gdzie idzie o zemstę! Przeznaczenie podobne w samej rzeczy okrutniejsze niż śmierć.

— Zresztą — rzekła dalej czarownica, ciesząc się ze swej piekielnej porady — środek ten żadnem nie grozi niebezpieczeństwem, z rozlicznych bowiem a niedościgłych dla ludzi przyczyn, ofiara nasza może postradać rozum; mógł spostrzedz nimfę, lub mieć in-

ne widzenie; mógł się zapalić dla piękności, wreszcie i samo wino sprawia niekiedy ten skutek. Ach! wierzaj mi, nigdy zbyt troskliwie nie wchodzą w przyczyny obłąkania; a gdyby w końcu i wysłiedzono, że stan jego jest skutkiem napoju miłości, czyliż szaleństwo nie jest jego skutkiem i czyliż piękności, która tego środka użyła, zwykle nie pobłażają serca wszystkich ludzi; cóż, potężny Hermesie, czyś zadowolony z mojej przebiegłości?

— Przedłużę o lat dwadzieścia twój układ z piekielną władzą; odnowię kres przeznaczenia twojego na powierzchni gwiazd białych; nie bez nagrody usłużysz panu o płomienistym pasie. Teraz zaś przyjmij to złoto i użyj go na urządzenie wygodniejszego mieszkania w tej posępnej jaskini. Usługa, wyświadczona Arbacesowi, stokroć więcej przynosić powinna, niż wszystko, co otrzymać możesz od zadziwienia prostych wieśniaków, których obdarzasz swoją sztuką.

To mówiąc, rzucił na ziemię worek dobrze nalożony złotem, którego brzęk słodko obił się o uszy czarownicy, albowiem lubiła mieć to przekonanie, że jej nie zbywa na wygodniejsze życie, lubo w gruncie wszelką pogardzała miękkością.

— Bądź zdrowa — dodał Arbaces — nie zapomnij... czuwaj dłużej, niż gwiazdy, jeżeli tego potrzeba do sporządzenia napoju; a gdy się udasz do Beneventu dla wyrządzenia czci skrzydlatemu wężowi, wzbudzisz szacunek wszystkich twych towarzyszek, gdy objawisz, że patronem i przyjacielem twoim był Hermes Egipcjanin. Do jutra, zobaczymy się znowu,



Nie czekał na pożegnania i dzięki czarownicy, lecz szybkim krokiem wyszedł na świeże powietrze i pośpieszył zejść z góry.

Czarownica, wyszedłszy za nim aż na próg swego mieszkania, pozostała czas długi u wnijscia jaskini, patrząc za oddalającym się gościem. Wróciła potem powolnym krokiem, z trudnością podniosła ciężki worek, zdjęła lampę z podstawy i udała się do najciemniejszego zakątka, w którym znajdowało się zbliżone tylko widome czarne i spadziste przejście, osłonięte stykającymi się z sobą ostremi skał ścianami. Szła w dół czas niejaki tą ciemną drogą, zdającą się prowadzić do wnętrzości ziemi; podniósłszy potem kamień, złożyła swój skarb w znajdującem się pod nim wydrążeniu; gdy blask lampy oświecił to miejsce ukazały się stosy monet rozmaitej wartości, które nagromadziła łatwowierność lub wdzięczność osób, czarownicę odwiedzających.

— Lubię paść wzrok waszym widokiem — rzekła, patrząc na pieniądze; widok wasz przekonywa mnie, że istotnie mam władzę. I jeszcze dano mi lat dwadzieścia do pomnożenia moich zbiorów! O, wielki Hermesiel

Spuściła kamień i poszła dalej o kilka kroków; zatrzymała się przed rozpadliną w nierównej znajdującej się ziemi; gdy do niej zniżyła głowę, usłyszała dziwny huk naksztalt głuchego i dalekiego grzmotu, z którym łączył się co chwila dźwięk silny, podobny nieco do odgłosu, jaki wydaje stal na kamieniu ostrzo-

na; w tejże chwili czarny i gęsty dym wybuchnął przez rozpadlinę, i roztoczył się po jaskini kłębami.

— Duchy są dziś więcej, niż zwykle, burzliwe— rzekła czaro wnica, osiwiałą wstrząsając głową. Patrząc potem w głąb szpary, ujrzała długą bruzdę jaskrawą czerwonego światła. — Rzecz dziwna— rzekła, cofając się;—zaledwie od dwóch dni ukazuje się to posępne i tak głębokie światło... Cóżby to znaczyć mogło?

Lis, który szedł za swą straszliwą panią, zawył żałośnie i śpiesznie pobiegł do jaskini; na ten dźwięk, któremu ówczesna zabobonność złą przypisywała wróżbę, dreszcz przebiegł członki czarownicy. Wyrzekła urok dla oddalenia złej wróżby i chwiejącym się krokiem wróciła do jaskini, gdzie otoczona ziołami i narzędziami czarów, zaczęła się sposobić do wykonania rozkazów Egipcjanina.

— Powiedział, zem obłąkana — rzekła, ujrzawszy powstającą parę z płynu gotującego się w kotle; smutną jest rzeczą być obłąkaną, gdy szczęki opadną, gdy traci się zęby, gdy serce prawie już nie bije; ale okropniej stokroć — dodała z dzikim i tryumfującym uśmiechem—gdy młody, silny, piękny nagłą porażony zostanie niedołężnością! Palcie, płomień; warzcie się, zioła; wypuszczaj swój jad, ropucho; przekląłam go i będzie przeklęty.

Tej samej nocy, i w tej samej godzinie, w której Arbaces z czarownicą odbyli swą świętokradzką naradę, Apaecides został ochrzczony.

## ROZDZIAŁ XI.

Postęp wypadków. — Intryga się zawiązuje. — Snuje się pasmo, lecz nic w inną przechodzi rękę.

— Będzieszże miała odwagę, Julio, udać się dziś wieczorem do czarownicy Wezawiusza, i to jeszcze w towarzystwie tego straszego człowieka?

— Jakto, Nidyo?—odrzekła Julia bojaźliwie;— czyż mniemasz, że mi w tem istotnie grozić może niebezpieczeństwo? Te stare czarownice ze swemi zwierciadłami, narzędziami czarów i zbieranemi przy świetle księżyca ziołami byłyżby czem więcej, niż oszustkami? Dotąd bowiem myślałam, że cała ich sztuka ogranicza się na posiadaniu uroku, którego potrzebuję, a który z ziół im wiadomych wyciągnąć umieją.

— Lecz czy się nie boisz towarzysza zamierzonej podróży?

— Arbacesa? przez Dyannę! nie widziałam kochanka, któryby posiadał dar tak ujmującej grzeczności, jak ten czarnoksiężnik; gdyby nie miał tak ciemnej cery, byłby nawet prawdziwie pięknym

Nidya, aczkolwiek niewidoma, tyle jednak miała przenikliwości, iż pojęła natychmiast, że Julia

nie była z liczby kobiet, coby się bać mogły zalotności Arbacesa. Nie usiłowała więc doradzać jej, aby zaniechała powziętego zamiaru, lecz w sercu coraz silniejszej doznawała żądy powzięcia wiadomości, czy w samej rzeczy czarodziejstwo miało władzę rozżarzyć wzajemną miłość.

— Pozwól mi towarzyszyć sobie, szlachetna Julio,—rzecze w końcu,—wiem, że obecność moja nie będzie tarczą dla ciebie; pragnę wszakże być z tobą aż do ostatniej chwili.

— Ta twoja troskliwość bardzo mi się podoba,—odrzekła córka Dyomeda:—lecz nie wiem, czyli ją przyjąć mogę. Godzina mojego powrotu będzie zapewne spóźnioną, i nieobecność twoja mogłaby zostać spostrzeżoną.

— Jona jest pobłażającą; jeżeli mi pozwolisz noc przepędzić w twojem mieszkaniu, powiem, że będąc niegdyś moją patronką i przyjaciółką, chcesz, abym dzień spędziła u ciebie, dla śpiewania ci piosnek tessalskich. Jej grzeczność nie odmówi ci tak małej przysługi.

— Proś ją o to od siebie, — rzecze wyniosła Julia; — ja się nie poniżę do błagania o łaskę Neapolitanki.

— Niech i tak będzie; odchodzę więc teraz dla pozyskania jej pozwolenia, którego mi z łatwością, jestem tego pewną, udzieli, i wnet powrócę.

— Jeżeli je otrzymasz, będziesz miała zasłane łoże w własnej mojej sypialni.

Nidya pożegnała hożą Pompejankę, a wracając



do Jony, spotkała powóz Glauka, którego piękne i bystre konie były przedmiotem podziwu wszystkich przechodniów.

Rozkazał zatrzymać powóz dla pomówienia z kwiaciarką.

— Jesteś świeżą, jak twoje róże, luba Nidy; jakże się ma twoja piękna pani?

— Jeszczem jej dziś nie widziała, lecz...

— Lecz co? Cofnij się nieco, zbyt blisko ciebie są konie.

— Lecz czy sądzisz, że Jona pozwoli mi przepędzić dzień u Julii, córki Dyomeda? Ona mię o to prosi, a była dla mnie pełną dobroci wtenczas, gdym jeszcze nie miała przyjaciół.

— Niech błogosławią bogowie wdzięczne twoje serce! ręczę ci za chętnę przyzwolenie Jony.

— Wolno mi więc będzie noc tam przepędzić i nazajutrz dopiero powrócić? — rzecze dalej Nidya, zawstydzona pochwałą, której nie była godną.

— Jak się podoba tobie i twojej pięknej Julii. Powitaj ją odemnie; a gdy mówić będzie, zważaj bacznie, jaka jest różnica pomiędzy tonem jej mowy a dźwięcznym głosem Jony. Bądź zdrowa.

Glaukus już był zupełnie wypoczął z utrudzenia i wzruszeń doznanych w czasie swojej z Joną wycieczki; piękne jego bieguny z wiatrem ubiegały się na wyścigi, i rychło pełen młodości i szczęścia Ateńczyk, istny obraz boga jego ojczyzny, pobiegł do swojej kochanki.

Korzystaj z błogiej chwili; któż przyszłość przewidzieć zdoła?

Wieczór już się znacznie skłaniał ku nocy, gdy Julia, w lektyce tak obszernej, iż w niej i niewidoma jej towarzyszka znalazła dość miejsca, udała się za miasto ku wskazanym przez Arbacesa kąpielom. W charakterze jej tyle było płochości, iż zamiar powzięty, zamiast obawy, przejmował ją, przeciwnie, przyjemnem uczuciem ciekawości; lecz większą nad wszystko wzniecała w niej radość myśl bliskiego tryumfu nad nienawistną Neapolitanką.

Kiedy lektyka miała się zatrzymać przy wnieściu do kąpeli, wyłącznie dla kobiet przeznaczonych, nieliczne lecz pełne wesołości zebranie osób otaczało główne drzwi domu.

— Chociaż już ciemno, — odezwał się jeden z obecnych, — zdaje mi się jednak, że poznaję niewolników Dyomeda.

— To prawda, Klaudyuszu, — rzecze Sallustyusz, — jest to zapewne lektyka jego córki, Julii — tak piękna i tak bogata! Dlaczego nie składasz jej swojego hołdu?

— Spodziewałem się, że ją Glaukus poślubi; ona nie tai bynajmniej swojej ku niemu skłonności, a że jest szlachetny i gra nieszczęśliwie...

— Sesterce przeszłyby od niego do ciebie, mądry Klaudyuszu. Dobra to rzecz żona, gdy nie jest naszą.

— Lecz że Glaukus, jak się zdaje, — rzecze dalej Klaudyusz, — stanowczo zamierzył zaślubić Nea-

politankę, mam zamiar doświadczyć, czy mi się nie uda pocieszyć opuszczonej. Wszakże pochodnia hymenu dobrze ozłoconą zostanie, a przez wzgląd na wartość jej oprawy można nie zważać na mniej przyjemny zapach płomieni. Postaram się tylko, mój Sallustyuszu, aby cię Dyomed nie ustanowił powiernikiem majątku swojej córki \*).

— Czy tak? lecz wejdźmy; czekają nas girlandy i wino.

Odesławszy niewolników do miejsca dla nich przeznaczonego, Julia weszła do domu z Nidyą; nie przyjęła jednak ofiarowanej sobie kąpeli i drzwiami skrytymi udała się do ogrodu.

— Musi mieć schadzkę z kochankiem, — rzekła jedna z miejscowych niewolnic.

— Co ci do tego, — ofuknęła dozorczyni domu; — płaci za kąpiel i nie psuje szafranu. Podobne schadzki są w naszym stanie najkorzystniejsze. Słyszysz, wdowa Fulwia klaszcze w ręce; bież do niej, bież, głupia szczebiotko!

Julia, w towarzystwie Nidy, unikając stron uczęszczanych ogrodu, przybyła do wskazanego przez Arbacesa miejsca. Był to mały okrągły chodnik; gwiazdy jaśniały nad posągiem Sylena. Wesoły bo-

---

\*) Według dawnego prawa rzymskiego nie można było nic zapisać kobiecie. Pozorny wzgląd na to prawo sprawiał, że gdy oddawano majątek córce, zapisywano go zaufanemu powiernikowi, który jeżeli chciał mógł go zatrzymać dla siebie; wreszcie prawo to już było przedawnione w epoce niniejszej powieści.

żek leżał na odłamie skały; laska Bachusa była u nóg jego, w ręce zaś, podniesionej nad głowę, trzymał około ust winne grono, do którego zdawał się uśmiechać.

— Nie widać czarnoksiężnika, — rzecze Julia, oglądając się wokoło; ale w tej chwili ukazał się Egipcyanin, długą okryty szatą.

— Witaj, miła dziewico! lecz, ach! kogożeś to z sobą przywiodła? nikt nam towarzyszyć nie może.

— Jest to tylko niewidoma kwiaciarka, mądry czarowniku, ona jest Tessalianką.

— Nidya! — zawołał Egipcyanin, — znam ją.

Nidya cofnęła się z przerażeniem.

— Zdaje mi się, żeś była u mnie, — rzekł, zbliżając usta do ucha Nidy; — pamiętaj o przysiędze!... Milczenie, teraz jak wówczas, albo drzyj!

— Jednakże, — dodał, po chwili zastanowienia, — nawet niewidomej bez koniecznej potrzeby nie należy do tajemnicy przypuszczać! Julio, czy nie śmiesz sama być ze mną? Wierzaj mi, czarnoksiężnik nie jest tak strasznym, jak się być zdaje.

To mówiąc, odprowadził Julię na stronę.

— Czarownica nie lubi wiele osób razem przyjmować; zostaw tu Nidyę do swego powrotu; ona nam nie jest potrzebną, a jeżeli mieć chcesz obronę, azaliż piękność twoja nie będzie dostateczną?... spuść się na mnie, nadobna współzawodniczko najmłodszej z Najad.

Choź Julia nie była, jakieśmy to powiedzieli, łątwą do zastraszenia; ujęły ją pochlebstwa Arbacesa



i zezwoliła na zostawienie Nidy w domu kąpielowym. Kwiaciarka również chętnie na to przystała. Na sam dźwięk głosu Egipcyanina cała w jej duszy wznowiła się trwoga, i Nida z radością przyjęła wiadomość, że się z nim rozstać mogła.

Wróciła więc do domu i w izbie ubocznej czekała na powrót Julii. W tej samotności i powlekającej ją wiecznej nocy, tysiące bolesnych uwag tłoczyło się do głowy biednej dziewczyny. Myślała o sieroctwie swojego przeznaczenia, o oddaleniu od rodzinnego kraju; od tych czułych starań, które ją pocieszały w dzieciństwie; pozbawiona światła, zawisała od łaski cudzoziemców, nieszczęśliwa w najśłodszym serca uczuciu, kochająca bez innej nadziei prócz wątlęgo promyka tej tessalskiej wyobraźni, która ją natchnęła żądzą poznania mocy i skutków czarnoksiężstwa.

Natura złożyła w sercu tej dziewczyny zarody cnót, którym przeznaczenie rozwinąć się i dojrzeć nie pozwoliło. Przeciwności niezawsze są zbawienną nauką; niekiedy łagodzą i poprawiają, ale często także psują i zatwardzają serce. Jeżeli los gorzej się z nami obchodzi, niż z osobami, które nas otaczają, a wyroki jego nie są usprawiedliwione własnymi czynami naszymi, zwykliśmy patrzeć na świat, jak na nieprzyjaciela, przybierać grożącą postawę, walczyć, aby pokonać wrodzoną nam łagodność, i dogadzać namiętnościom, które tak łatwo podżega niesprawiedliwość. Od dzieciństwa zaprzędana chciwemu czo-

wiekowi, w nowem swem położeniu dolegliwsze jeszcze znosząca cierpienia, Nidya zatarła w swem bolejącem sercu wszelkie uczucia dobroci. Trafne jej pojęcie o złem i dobrem zgasiła władnąca nią niebaczną namiętność, i uległa owym gwałtownym, tragicznym wzruszeniom, których w wiekach klasycznych Myrrha, Medea i tyle innych tak liczne zostawiły przykłady.

Czas upływał; nakoniec dał się słyszeć krok lekki w izbie, w której Nidya zatapiała się w ponure swe rozmyślania.

— Dzięki bogom nieśmiertelnym!— rzecze Julia, —już powróciłam; opuściłam nakoniec tę okropną jaskinię; pójdź, Nidy! oddalmy się natychmiast!

Julia nie rychlej wszczęła znowu rozmowę, aż gdy już obie siedziały w lektyce.

— Ach! — zawołała ze drżeniem, — jaka scena! co za okropne zaklęcia! a ta twarz grobowa czarownicy! Lecz nie mówmy już o tem! Otrzymałam napój. Współzalotniczka moja stanie się zupełnie dla Glauka obojętną; ja tylko sama będę jego bożyszczem.

— Glaukus!—krzyknęła mimowolnie Nidya.

— Tak jest, moje dziecię; powiedziałam ci zrazu, że innego kochała, lecz teraz już widzę, że można się tobie zwierzyć; tak, wyznaję, kocham pięknego Ateńczyka.

Łatwo osądzić, co się działo w sercu Nidy. Sama dopomagała do rozłączenia Glauka z Joną; lecz dlatego jedynie, aby poświęcił dla innej całą siłę miło-

ści, jaką tylko moc czarów podniecić jest zdolną. Przepelniająca ją rozpacz zdawała się rozdzierać jej duszę; zaledwie mogła oddychać. Jednakże ciemność nocy pokryła to wzruszenie przed Julią, która rozwodziła się bezustannie nad szczegółami spodziewanego powodzenia i tryumfu nad Joną, powtarzając co chwila opisy okropnej sceny, której była świadkiem, postawy nieugiętej Arbacesa i jego władzy nad straszliwą czarnoksiężnicą.

Tymczasem Nidya zdołała odzyskać spokój; myśl pocieszająca uderzyła ją nagle; miała spać w pokoju Julii; cóż jej przeszkodzi zawładnąć błogim napojem?

Przybyły do domu Dyomeda i udały się do pokojów Julii, gdzie znalazły zastawioną wieszak.

— Pij, Nidyo; zapewneś zziębła; powietrze nocy tak chłodne; co do mnie, jestem dotąd zlodowaciała.

To mówiąc, piła bez zastanowienia zaprawne korzeniami wino.

— Masz więc żądany napój? — rzecze Nidya, — pozwól mi go wziąć do ręki. Jaka mała flaszeczka! Jaki jest jego kolor?

— Przejrzysty, jak kryształ, — odrzekła Julia, odbierając go z rąk Nidy, — niczem się od czystej wody nie różni. Czarownica zapewniała mię nadto, iż nie ma żadnego smaku; i chociaż tak mała flaszeczka, ilość jednak zawartego w niej płynu może na całe życie wierność kochanka ustalić; z jakimkolwiek zmieszać go można napojem; kto go zaś wypije, nie ry-

chlej na nim się pozna, aż gdy skutków jego doznawać zacznie.

— Mówisz, że z pozoru niczem się od wody nie różni?

— Tak jest, niczem. Jaka czystość! podobny do rosy, zbieranej przy blasku księżyca. Mniej jednak jest świetnym, niż przyszłość, którą mi obiecuje.

— Jakże jest zatkana flaszeczka?

— Prostem przykryciem z kryształu. . . Możesz je odjąć... Żadnego nie ma zapachu. Nie jestże to rzecz dziwna, że płyn, który żadnego w szczególności zmysłu nie drażni, wszystkie tak silnie może opanować?

— Czy działa niezwłocznie po zażyciu?

— Najczęściej; niekiedy jednak po kilku dopiero godzinach.

— O, jak jest miła ta woń! — rzecze nagle Nidya, biorąc ze stołu flaszkę z wonnościami.

— Flaszkę tę zdobią kosztowne klejnoty; nie chciałaś wczoraj przyjąć naramiennika, czy ją dziś przyjmiesz w podarunku odemnie?

— Kto jest tak nieszczęśliwym, iż nie może widzieć wspaniałej Julii, temu przynajmniej podobne wonności winny ją przywodzić na pamięć. Jeżeli to naczynie nie jest zbyt drogie. .

— Mam tysiąc droższych nierównie; weź je, weź, moje dziecko.

Nidya ukloniła się, przyjmując ten drogi dla niej podarunek.



— Czy napój zawsze ma być skutecznym, bez względu na to, czyja go poda ręka?

— Mówiono mi, iż gdyby Głaukus zażył go z rąk starej, najszeptniejszej pod słońcem, kobiety, poczytałby ją natychmiast za najpierwszą piękność na świecie!

Julia, rozgrzana winem i nadzieją powodzenia, nie umiała pohamować radości; śmiała się głośno, tyśiące rozmaitych wprowadzała do rozmowy przedmiotów, i zaledwie w nader spóźnionej porze przywołała niewolnice, aby ją rozebrały.

Gdy się już położyła i odeszły niewolnice, rzekła do Nidy:

— Ten błogi napój nie opuści mię aż do chwili, w której będę z niego korzystać... Spoczywaj, świętny płynie, i sprowadź mi słodkie marzenia!

To mówiąc, schowała pod poduszkę fiaszeczkę; serce Nidy biło gwałtownie.

— Dlaczego pijesz tylko wodę, Nidyo? jest wino przy tobie.

— Mam nieco gorączki, — odrzekła niewidoma, — a tylko woda mię orzeźwia. Piękna Julio, ja bardzo rano odejdę, gdyż takie są rozkazy Jony; może jeszcze spać będziesz, i dlatego racz przyjąć teraz moje pożegnanie.

— Żegnaj cię... gdy się znowu zobaczymy, ujrzysz Głauka u nóg moich.

To rzekłszy, usnęła strudzona dniem strawionym w niespokojności; ale wrzące i burzliwe uczucia oddalały sen z oczu Tessalianki. Po niejakiem czasie

zaczęła się przysłuchiwać spokojnemu oddechowi Julii; wprawny słuch jej przekonał ją, że była po-  
grążoną we śnie głębokim.

— Teraz, o Wenero, bądź mi przychylną!—wy-  
rzekła cichym głosem.

Wstała z ostrożnością, wylała na marmur po-  
sadzki wonności darowane sobie przez Julię, i flaszkę  
wypłókała starannie znajdującą się przy łóżku wodą;  
znalazłszy potem posłanie Julii bez najmniejszej tru-  
dności, bo noc dla niej była tem samem, co dzień,  
drżącą rękę wsunęła pod poduszkę i pochwyciła na-  
pój; Julia nie przebudziła się, a jej oddech spokojny  
dawał się czuć rozpalonej twarzy młodej niewolnicy.  
Nidya otworzyła flaszeczkę, wylała płyn w niej za-  
warty do swojej i, napełniwszy ją czystą wodą, wło-  
żyła znowu pod poduszkę Julii. Położyła się potem  
na łóżku i pożerana namiętnościami, których nie bę-  
dziemy opisywać, oczekiwała pierwszych rannego  
słońca promieni.

Nadszedł poranek. Julia jeszcze była uspioną;  
Nidya ubrała się cicho, ukryła starannie swój skarb,  
wzięła kij w rękę i opuściła dom Dyomeda.

Odźwierny Medon powitał ją przyjaźnie, gdy  
schodziła ze schodów wiodących na ulicę; lecz go nie  
słyszała, tak dalece dusza jej zatopioną była w od-  
męcie burzliwych myśli. Czoło jej uczuło orzeźwia-  
jące powietrze poranku, lecz świeżość jego nie zdo-  
łała ugasić płonącego w żyłach jej ognia.

— Glauku,—rzekła do siebie, — połączona moc  
czarów świata całego nie wzbudzi w tobie takiej dla

mnie miłości, jaką ja pałam dla ciebie... Jona!...  
Precz! precz! odemnie wszelkie wahania się! wszelkie  
wyrzuty sumienia!... Glauku, mój los jest w twoim  
uśmiechu, a twój!... o nadziejo! o radości! o szczęście!  
*twój los w tej oto ręce!*

# KSIEGA IV.

„Philtra nocent animis, viique furoris habent.“  
*Owidyusz.*

---

## ROZDZIAŁ I.

**Uwagi nad gorliwością pierwotnych chrześcian. — Dwaj ludzie przedsięwiorą niebezpieczne zamiary. — Ściany mają niekiedy uszy.**

Ktokolwiek zna dzieje pierwiastkowego kościoła, wie, że jedną z pierwszych przyczyn jego tryumfu była owa żarliwa i wytrwała gorliwość obrońców wiary i odwaga jej męczenników. Duch wzgardy i nienawiści dla każdego innego wyznania dopomagał do zwyciężania pokus wabiących przyjemnym fałszem pogaństwa zwolenników; gruntowne i niezłomne przekonanie, że Ewangelia nietylko była wiarą prawdziwą, lecz jedyną wiarą, w której można dostąpić zbawienia, czyniło jej uczniów wytrwałymi w surowości dogmatów i niebezpiecznem przedsięwzięciu nawracania politeistów i pogan. To głę-



bokie przekonanie, że cnota i niebo były tylko udziałem małej liczby wybranych, że pogańscy bogowie byli złymi duchami i że męki piekieł czekały bałwochwalców—podniecało w prawowiernych najgorętszą żądzą nawrócenia tych wszystkich, do których przywiązywały ich uczucia ludzkości, a życzliwość dla człowieka jednoczyła się z żądzą pomnożenia chwały Boga. Dla zaszczytu wiary nie wahał się chrześcianin śmiało wystawiać dogmatów swej wiary na walkę sceptycyzmu i wstrętu, na wzgardę pogańskiej filozofii, na pobożne oburzenie ludu. Jego zapał i wytrwałość były dlań nawet najpewniejszą rękojmią powodzenia; bo zwykle zmiękczony poganin utwierdzał się z czasem w przekonaniu, że rzeczywista świętość mieściła się w gorliwości, żadną niewstrzymanej przeszkodą, żadnem nieustraszonem niebezpieczeństwem, a nawet pod narzędziami tortur i na rusztowaniu odwołującej się do sprawiedliwych wyroków wiecznego sądu.

W rządzie tych ognistych i przedsiębiorczych charakterów odznaczał się przed wszystkimi Olint. Skoro tylko Apaecides otrzymał na łonie kościoła sakrament chrztu świętego, pośpieszył przekonać go Nazarejczyk, iż niepodobna, aby nadal zachował urząd i ubiór kapłana Izydy. Widoczną było rzeczą, iż, wyrządzając cześć prawdziwemu Bogu, nie mógł, nawet pozornie, pełnić służby przy bałwochwalczych ołtarzach.

Lecz niedość na tem; gorąca dusza Olinta powzięła myśl użycia wpływu Apaecidesa dla odświe-

nia przed zwodzonym ludem prawdziwego znaczenia tajemnie i wyroczni Izydy. Nie wątpił, że niebo zesłało go, aby się stał narzędziem jego zamiarów w oświeceniu ślepego ludu i otwarciu drogi zbawienia dla całego miasta. Nie wahał się więc korzystać z nowo zapalonego entuzjazmu Apaecidesa. W tym celu, wieczorem dnia następnego po chrzcie Apaecidesa, zeszli się z sobą w gaju Cybeli, któryśmy już opisali poprzednio.

— Na pierwszym zebraniu ludu dla poradzenia się wyroczni — mówił Olint, prowadząc dalej zaczęłą już rozmowę — wystąp, rycerzu Chrystusa, wyjaw głośno oszustwa lud uwodzące i wezwij go, aby wszedł do środka świątyni, dla naocznego przeświadczenia się o grubym mechanizmie podstępu i sztuki, któryś przedemną opisał. Nie lękaj się; Pan Niebios jak zasłonił Daniela, tak zasłoni i ciebie; wszyscy chrześcianie Pompei będą zmieszani z ludem; ośmielimy bojaźliwych; ja sam zatknę na ołtarzu fałszywego bóstwa gałązkę palmową, godło Ewangelii; a z ust moich da się słyszeć głos Boga żywego.

W zapale, ożywiającym Apaecidesa, podobne zlecenie nie mogło być mu nieprzyjemnem. Cieszył się nawet myślą, iż tak rychło będzie miał sposobność okazania gorliwości dla nowej wiary; z uczuciami pobożności wrzała w nim żądza zemsty za podejścia, których sam był dotąd przedmiotem. Ani Olint, ani nowy wyznawca, uniesieni gorącą żądzą spełnienia świętego zamiaru, nie przewidywali mogących stanąć na przeszkodzie mnogich trudności, ani skutków tej

przesądnej zabobonności, która w obecności ołtarzów wielkiej bogini egipskiej nie pozwoli bezwątpienia ludowi uwierzyć w znieważające ją świadectwa, nawet własnego jej kapłana.

Przystał więc Apaecides na powierzone sobie zlecenie z łatwością, która mocno ucieszyła Olinta. Rychło rozeszli się, umówiwszy się jednak, że Olint powierzy najcelniejszym swym chrześcijańskim braciom to wielkie przedsięwzięcie, że zasięgnie ich porady i żądać będzie współdziałania w wielkim dniu wykonania powziętej myśli. Tak się składało, że jedna z uroczystości Izydy przypadała trzeciego dnia po tej rozmowie, była to więc dogodna sposobność dla ich zamiaru. Ułożyli, że się zejdą raz jeszcze dnia następnego wieczorem, aby ostatecznie naradzić się nad chwilą wykonania i szczegółami zamierzonego dzieła.

Przypadkiem część ostatnia tej narady odbyła się w bliskości opisanej już przez nas małej kaplicy (*Sacellum*), a skoro tylko cienie chrześcianina i kapłana znikły między drzewami gaju, ukazała się wychodząca z niej postać człowieka szpetnej i posepnej twarzy.

— Nie bez słusznego więc powodu i nie bez skutku śledziłem cię, mój współbracie; ty! kapłan Izydy, zapewneś nie przez zamięłowanie w próżnych rozprawach porozumiał się z tym ponurym Nazarejczykiem. Czemużem nie mógł wysłuchać wszystkich szczegółów waszego spisku? Lecz dość mi i na tem! Wiem, że macie wyjawić święte Bogini tajemnice i że jutro schodzicie się jeszcze w tem miejscu, dla ostatecznego wybrania środków, mogących zapewnić

skutek waszego zbrodniczego przedsięwzięcia. O, gdyby Ozyris słuch mój zaostrzył tak, iżbym zdołał poznać całą rozciągłość tej bezprzykładnej śmiałości! Jak tylko dokładniej zostanę zawiadomiony, narażę się z Arbacesem. O tak! pomimo całą waszą przebiegłość, potrafimy zbadać wasze zamysły. Tymczasem tajemnica waszej rozmowy zostanie przy mnie.

To rzekłszy, Kalenus, gdyż on to podsłuchiwał rozmawiających, obwinął się swą szatą i wszedł do świątyni.



## ROZDZIAŁ II.

Pan domu, kucharz i kuchnia w starożytności. — Apaecides udaje się do Jony. — Ich rozmowa.

Zbliżył się dzień oznaczony przez Dyomeda dla dania uczy wybranym przyjaciółom. Powabny Glaukus, piękna Jona, poważny Pansa, świetny Klau dyusz, nieśmiertelny Fulwiusz, modny Lepidus i zwo lennik Epikura, Sallustyusz, nie sami tylko powołany mi zostali do zaszczytowania biesiady. Oczekiwano je czcze przybyłego z Rzymu Senatorsa, wielką u dworu posiadającego wziętość, i słynnego wojownika z Her kulanum, który ogromne nagromadził bogactwa, wal cząc pod Tytusem przy zdobyciu Jerozolimy; co mu jednak nie przeszkadzało mawiać bezustannie swym przyjaciółom, że kraj wielką dlań winien wdzięczność za położone tak beziinteresowne zasługi. Liczniejsze nawet jeszcze zebrać się miało towarzystwo; bo lubo, ściśle mówiąc, zwyczaj wymagał nieprzyjmowania u stołu mniej od trzech i więcej niż dziewięciu osób, lubiący jednak wystawność często nie zważali na to prawo. Uczy nas nawet historia, że jeden z owych sławnych Amfitryonów dawał zwykle wieczerze

trzystu najszczerzym swym przyjaciółom. Skromniejszym był Dyomed i poprzestał na podwojeniu liczby przepisanej. Stół został zastawiony na osiemnaście osób, która to liczba i w naszych nawet czasach uchodzi jeszcze za znakomitą. Wprawdzie przysłowie mówi: „Im więcej szaleńców, tem więcej śmiechu“; często jednak uważałem, że u stołu przeciwnie działa się niekiedy zwykło.

Nadszedł poranek owego dnia wielkiego, a lubo Dyomed uchodzić chciał za człowieka dobrze urodzonego i uczonego, tyle jednak zachował handlowego doświadczenia, iż pomniał, że oko pańskie wszędzie potrzebne. Rozpuściwszy tedy tunikę po wspaniałej swej okrągłości brzuchowej, opatrzywszy nogi wygodnymi pantoflami i uzbroiwszy się małą laską, którą już to przypominał niewolnikom winną dla pana uległość, już wymierzał na ich plecach lekkie kary, zwiędzał kolejną wszystkie części swego wspaniałego domu letniego.

Nie zaniedbał udać się nawet i do tej świątyni, w której kapłani biesiad przysposabiali swoje ofiary. Gdy wszedł do kuchni, słuch jego został przyjemnie uderzony dźwiękiem poruszanych bezustannie naczyń, klątwami i wołaniami krzątających się osób. Jakkolwiek małą się być zdaje w większej liczbie domów Pompei ta nieuchronna część mieszkalnego zabudowania, zawsze jednak musiała być dobrze wypełnioną całą tą różnaitością pieców, kominów, rusztów, rondli, nożów, form, bez których genialny dzisiejszy nawet kuchmistrz uważałby za rzecz niepcdobną przy-

rządzenie posiłku dla ciała. Ponieważ materiał opalowy również był wtenczas jak jest i dzisiaj w tym kraju rzadki i drogi, cała więc biegłość sztuki kucharskiej zależała na tem, aby przy najmniejszym ogniu jak można największą liczbę potraw przyrządzić. W muzeum neapolitańskim widzieć jeszcze można dziwny w tym rodzaju wynalazek, jest to mała kuchnia przenośna, nie większa od tomu in folio, zawierająca piec na cztery potrawy, i prócz tego stosowne urządzenie do grzania wody i innych napojów. Tom ten wybornie przydałby się do naszych tanich czytelników, i za najniższą jak można cenę złączyłby posiłek cielesny z umysłowym, z tą jednak różnicą, że dzieło to częściej nierównie byłoby przegłędanem niż inne.

W małej tedy kuchni Dyomeda uwijało się na wszystkie strony mnóstwo twarzy nieznanych żywemu oku pana domu.

— Ho! ho! — szepnął do siebie; — ten przekłety Kongrio zwołał całą legię kucharzy ku swej pomocy. Zapewne nie darmo służyć mu będą, i nowy wydatek przybywa do tych, jakie w dniu tym ponieść potrzeba. Przez Bachusa! trzykroć się szczęśliwym nazwę, jeżeli ci niewolnicy nie zechcą jeszcze za swe trudy zgarnąć kilku czar moich, gdyż, niestety! ręce mają długie, a tuniki szerokie... *Me miserum!*

Tymczasem kucharze nie ustawiali w swych zatrudnieniach, jak gdyby nie widzieli przybycia Dyomeda.

— Ho! Euklio, podaj mi piec do jaj! Jaktol czy

nie masz większego? w tym się i trzydzieści jaj nie zmieści; w domach, gdzie *ja* zwykłem służyć, najmniejszy obejmie pięćdziesiąt, jeżeli tego potrzeba.

— Nędzniki! — pomyślał Dyomed; — rozprawia o jajach, jak gdyby sto ich mieć można za jeden sester.

— O, Merkury!—zawołał młody kuchta, który zdawał się zaledwie rozpoczynać swój nowicyat; — gdzie kiedy widziano formy do konfitur w tak staroświeckim kształcie? Niepodobna okazać całej znajomości sztuki, przy pomocy tak grubych narzędzi. Najprostsza forma w domu Sallustyusza wyobraża całe oblężenie Troi, Hektora, Parysa i Helenę z małym Astyanaksem, i w dodatku jeszcze z koniem drewnianym.

— Milcz! głupcze — rzekł Kongrio, kucharz miejscowy, który cały ciężar dnia tego zdawał się chcieć zrzucić na swych sprzymierzeńców; — mój pan, Dyomed, nie jest podobny do owych młodych marnotrawników, którzy, bez względu na cenę, chcą mieć wszystko w najlepszym smaku.

— Kłamiesz, nikczemny niewolniku — zawołał Dyomed z wściekłością; — co ty mię kosztujesz byłoby nawet samego Lukulla do torby przywodziło.

— Wyleż ze swej nory, chcę z tobą mówić.

Niewolnik był posłuszny, dawszy wprzód znak porozumienia się swym towarzyszom.

— Człowieku o trzech głoskach \*), — rzekł Dy-

---

\*) Przystosowanie do słowa łacińskiego *fur*, złodziej.



med z zagniewaniem i poważnem obliczem;—jak śmia-  
łeś przywołać do mnie całą tę zgraję łotrów? Na każ-  
dym z rysów ich twarzy czytam słowo złodziej.

— Upewniam cię jednak, panie, że to są ludzie  
nieposzlakowanej dobrej sławy... najlepsi w tem mie-  
ście kuchmistrze... Trudno i bardzo trudno mieć ich  
na usługi, i gdyby nie dla mnie ..

— Dla ciebie? nieszczęsny! czemże opłacisz te  
usługi, które czynić raczą dla *ciebie*, jeżeli nie memi  
pieniędzmi, pozwalając im sięgać ręką pod pokrywą  
kosza na targu, zamieniając na tłuszcze dobre sztuki  
mięsa, aby je potem sprzedawać po przedmieściach,  
i podając mi w rachunku nie wiem wiele pogiętych  
i potłuczonych naczyń?

— Ach! dobry panie, nie oskarżaj mojej uczci-  
wości. Niech mię opuszczą bogowie, jeżeli...

— Nie zaklinaj się — przerwał raz jeszcze dra-  
żliwy Dyomed—gdyż bogowie mogliby ukarać twoje  
krzywoprzysięstwo i przed obiadem straciłbym ku-  
charza. Lecz dość już o tem. Czuwaj nad tymi po-  
mocnikami, i strzeż się mówić mi jutro o potłuczonych  
naczyniach i czarach znikłych cudownym sposobem,  
bo inaczej całe plecy twoje w jedną zamienię ranę.  
Słuchaj mię jeszcze; tyłeś mi kazał zapłacić za owe  
attagensy \*) frygijskie, iż, przez Herkula! człowiek

---

\*) *Attagens*, pochodzący z Frygii, był ptakiem co-  
kolwiek większym od kuropátwy, za którym bardzo ubie-  
gali się Rzymianie. *Attagens carnis suavissimae*, mówi  
Ateneusz.

rozsądny mógłby się za to przez cały rok utrzymać; staraj się więc, aby nie były przepieczone. Pamiętam jak przed ostatnią biesiadą, którą dla przyjaciół dawałem, zaręczałeś, że zóraw z Melas będzie upieczony najdoskonalej; a gdyś go przysłał na stół, wzięliśmy go za kamień wyrzucony z Etny, jak gdyby wszystkie ognie Flegetonu sok jego strawiły. Tym razem bądź mniej zarozumiałym, a więcej przozornym; przozorność matką jest wielkich czynów, a jeżeli nie umiesz oszczędzać pieniędzy twojego pana, pokaż się przynajmniej dbałym o jego chwałę.

— Od czasów Herkulesa nie było w Pompei wieczerzy, jaką dziś przyrzadzę.

— Hola, hola .. zawsze te przeklęte przechwałki! Lecz słuchaj, Kongrio; co mówisz o tym człowieczku, zuchwałym posługaczu kuchennym, który poważyl się poniżyć piękność moich form do konfitur! Ja nie chcę, aby mówiono, że nie trzymam się mody.

— Jest to tylko nasz zwyczaj kucharski ganić naczynia, aby więcej chwały przypisywano naszej biegłości. Ta forma jest nader piękną, jednakże radziłbym ci, panie, przy pierwszej sposobności kupić znowu.

— Dostyc tego—zawolał Dyomed, jak gdyby postanowił nie pozwolić skończenia żadnej myśli swojemu niewolnikowi; powróć teraz do twoich zatrudnień... bądź świetnym... przenieś samego siebie... niech cały świat pozazdrości kucharza Dyomedowi; niech niewolnicy Pompei nadadzą ci przydomek: Kongrio wielki! Idź!... albo nie, zostań!... Zapewneś nie wydał wszystkich pieniędzy, którem ci dał, gdyś szedł na targ?

— *Wszystkich pieniędzy!*... niestety! za języki słowicze, za rzymskie *tomacula* \*), za bretańskie ostrzygi i za mnóstwo innych przedmiotów, których wyliczyć nawet nie zdołam, jeszcześmy zostali dłużni; lecz mniejsza o to! *archimagirus* \*\*) bogatego Dyome-  
da ma wszędzie kredyt otwarty.

— Co za obrzydła rozrzutność! jaka mnogość! lecz śpiesz się!... dozieraj!... kosztuj! pracuj!... Spraw, aby Senator rzymski nie gardził ubogim Pompejanem. Idź, niewolniku, i pamiętaj o *attagensach*.

Kongrio odszedł, a Dyomea pośpieszył obdarzyć swoją pańską obecnością przeznaczone do przyjęcia gości pokoje. Tu nic nie znalazł do zganienia: świeże kwiaty oddychały przyjemną wonią, wysoko biły fontanny, a mozaika posadzki tak była czysta i błyszcząca jak zwierciadło. Gdzie jest moja córka, Julia?

— W kąpieli!

— Ach! to mi przypomina... godzina się zbliża... i ja kąpać się muszę.

Lecz wróćmy do Apaecidesa. Dnia tego, naza-  
jutrz po przyjęciu wiary tak odmiennej od wyznania, w którym się urodził, młody kapłan Izydy załedwie mógł uwierzyć, iż się przebudził istotnie. Przebył już był złowieszczy Rubikon: odtąd przeszłość jego żadnego już mieć nie mogła połączenia z przyszłością; dwa światy były różne i przedzielone. Jakże śmia-

---

\*) *Candiduli divina tomacula proci* (Juvenalis, v. 353)

\*\*) *Wspaniały tytuł mistrza kuchennego.*

łe i niebezpieczne wziął na siebie przedsięwzięcie! Podjął się odsłonić tajemnice, w których sam czynny miał udział, znieważyc ołtarze, którym służył, oskarżyć boginię, której był kapłanem! uczuł stopniowo, jaką nienawiść i obrzydzenie wznieci w umysłach pobożnych, wtenczas nawet gdy się zamiar jego powiedzie; a jeśli przeciwnie, nie dopnie zamysłu, cóż go czeka za występki tak niesłychany, za zbrodnię, której nawet żadne istniejące prawo nie przewidziało? kara według okrutnego, dawnego i od niepamięci zaniechanego prawodawstwa. Przyjaciele, siostra, luba jego młodości towarzyszka, pożałują go bezwątpienia, lecz usprawiedliwiać nie będą; ten czyn bohaterski wyda się ich oczom świętokradzkim, okropnym odszczepieństwem, albo przynajmniej dowodem najopłakaniejszego obłąkania.

Jednakże na wszystko się odważy, wszystkiego się na tym świecie wyrzeczy, byleby na drugim cieszyć się tą błogą wiecznością, która mu tak nagle objawioną została; i gdy z jednej strony duszę jego przepełniały te myśli, z drugiej, wznosiła i podlegała jego męstwo żądza zemsty za podstępny, których był dotąd igraszką. Walka była zawzięta i żywa; jednakże nowe uczucia odniosły zwycięstwo.

Każdy z kapłanów był obowiązany sypiać koleją, przez kilka idących po sobie nocy, w poświęconej Izydzie świątyni; służba Apaecidesa nie była jeszcze skończoną; a gdy opuścił łożo, i odziany pontyfikalną szatą, wyszedł ze szczupłej swej izby, znalazł się sam jeden u ołtarzów bogini.



Znużony wzruszeniami, których doznał dnia poprzedzającego, dłużej spał niż zwyczajnie; już słońce pionowe gorejącymi płomieniami oświecało święty przybytek.

— *Salve, Apaecides!* — ozwał się głos, którego wrodzoną ostrość, nałóg występnego udawania zamienił w słodycz więcej prawie nieznośną — spóźniłeś się dzisiejszego poranku. Czy ci się we śnie objawiła bogini?

— Gdyby taką, jaką jest w istocie, mogła i chciała objawić się ludowi, nie widziałbyś, o Kalenie, palących się na jej ołtarzach kadzidel.

— To być może, lecz bogini ma tyle rozumu, iż się tylko z samymi porozumiewać chce kapłanami.

— Lecz, jeśli mimo jej woli, zdarta zostanie zasłona?

— Niepodobna; jej chwała, tylu wiekami utrwalona, nie tak łatwo upadnie przed zamilowaniem nowości. Lecz słuchaj mię, młody bracie; twoja mowa jest więcej niż nierozważna.

— Do ciebież należy nakazać mi milczenie?

— Jaki ogień!... Lecz nie chcę sprzeczać się z tobą. Czyliż ci nie wykazał Egipcyanin, jak ważną jest rzeczą, abyśmy żyli w zgodzie i dobrem z sobą porozumieniu? Czyliż nie dowiódł, że mądrość wymaga, abyśmy, mając umysły, korzystali z łatwości? Jeżeli cię o tem przekonać nie zdołał, nie mam go za tak wielkiego czarnoksiężnika, jakim się być mieni.

— Czyś także odbierał jego nauki? — rzekł *Apaecides* z pogardliwym uśmiechem.

— Tak jest; lecz mniej, niż tobie, były mi potrzebne. Samo przyrodzenie już mnie obdarzyło miłością rozkoszy, żądzą bogactw i władzy. Człowieka, stworzonego do rozkoszy, długa droga przedziela od surowości życia; ale krok tylko łączy między słodyczą grzechu a wygodną hypokryzyą. Lękaj się zemsty bogini, jeżeli kiedykolwiek odkrytem zostanie, jak dalece krok ten jest małym!

— A ty lękaj się godziny, w której grób się otworzy i zepsucie ukaże się na jaw!— odrzekł głosem uroczystym Apaecides.

Po tych wyrazach zostawił niegodnego kapłana; a gdy odszedł o kilka kroków, zatrzymał się i spojrział za siebie. Kalenus już był wyszedł do sali zejścia się kapłanów, bo się zbliżała godzina śniadania (prandium). Świątynia powabnej architektury, świetną okryta białością, jaśniała na słońcu, a dym kadzideł podnosił się z ołtarzów, ozdobionych girlandami. Apaecides posępnym wzrokiem przebiegł raz jeszcze tę scenę, której nigdy już więcej oglądać nie miał.

Udał się krokiem powolnym ku mieszkaniu Jony; przed ostatecznem zerwaniem węzłów, które go z nią łączyły, przed tem niebezpieczeństwem, na które miał się wystawić, pragnął raz jeszcze oglądać jedyną swą krewną, najpierwszą, najczulszą przyjaciółkę.

Znalazł ją z Nidyą w ogrodzie.

— Jakżeś dobry, Apaecidesie — rzekła Jona z radością; jakżem pragnęła cię widzieć! Dlaczego nie odpowiedziałeś na tyle listów, które do ciebie pi-

sałam? Tyś dopomógł ocalić honor siostry. Jakże ci zdołam wyrazić całą wielkość mojej wdzięczności?

— Droga Jono, tyś mi nie winna żadnej; broniąc ciebie, samego siebie broniłem... lecz nie wspominałmy o tym ohydny dla nas obojga bezbożniku! Może wkrótce będę miał możność odsłonić przed światem rodzaj jego mniemanej mądrości. Usiądźmy, siostro; jestem strudzony skwarem słońca; spocznijmy w tym cieniu, i raz jeszcze bądźmy dla siebie tem, czem byliśmy aż dotąd.

Brat i siostra, po raz ostatni, usiedli obok siebie w cieniu drzew rozłożystych, otoczeni rozkwitłemi krzewami; przed nimi wytryskała fontanna, zielony trawnik był pod ich stopami, konik polny, tak niegdyś drogi Ateńczykom, śpiewał wesoło w trawie, a motyl, to miłe godło duszy, poświęcony dla Psyche, ulatywał nad kwiatami, sam podobny do skrzydlatego kwiatu. To miejsce istnieje jeszcze, lecz ogród już jest zniszczony. wywrócone kolumny, i fontanna wytryskać przestała. Ciekawy podróżnik może poszukać domu Jony w zwaliskach Pompei; jego ruiny jeszcze się widzieć dają, lecz nie chcą ich ukazać pospolitej ciekawości.

Usiedli, a Nidya, szczęśliwa iż mogła być samą, udała się w przeciwną stronę ogrodu.

— Jono, siostro - rzekł nowy wyznawca—położ twą rękę na mojem czole; niech uczuję jej świeżość. Mów do mnie, bo głos twój słodki podobny jest do tchnienia orzeźwiającego i melodyjnego wiatru. Mów do mnie, lecz *strzeż się mię błogosławić!* Niechaj nie

słyszę z ust twoich żadnego z wyrażen, któreśmy w dzieciństwie pocztywali za święte.

— Niestety! i cóż ci mówić będę?... Mowa nasza stanie się pospolitą i zimną, skoro ją огоłocimy z wszelkiego przystosowania do naszych bogów.

— *Naszycb bogów!*... już nie dotrzymujesz tego, o com cię prosił!

— Chcesz, abym ci mówiła o samej tylko Izydzie?

— O, czarcie!... Nie; wolałbym abyś, oniemiała na zawsze, chyba... Lecz przestań, przestań, Jono. W tej chwili nie powinniśmy sprzeczać się o słowa, ani sądzić siebie surowo. Ty nazwałabyś mię odszczepieńcem, a ja płoniłbym się z boleści i wstydu na widok twojego bałwochwalstwa. Siostró usuńmy z myśli naszej podobne przedmioty... W słodkiej obecności twojej burza mej duszy zmienia się w ciszę łagodną... Na twojem łonie, w twoich objęciach, zdaje mi się, żeśmy dziećmi nanowo, że się nam niebo uśmiecha jak wtenczas. Gdyż, Niestety! jeżeli przeżyję pewną próbę, jeśli mi wolno będzie mówić z tobą o straszliwym, świętym przedmiocie, i jeżeli wtenczas słuch twój znajdę zamkniętym i zatwardziałe serce, nadzieja jaką dla siebie mieć mogę, nie zdoła przeważyc rozpaczy nad twoim losem. Ach! nie, nie; ty mię wysłuchasz! Czy przypominasz sobie, jak, trzymając się za ręce, przebiegaliśmy kwieciste błonia Bai?... Trzymając się podobnie, wejdziemy razem do ogrodu wiecznego szczęścia i uwieńczymy skronie nasze kwiatami nieśmiertelności.



Zdziwiona i zmieszana mową tak dla niej niezrozumiałą, lecz wzruszona aż do łez żalonym jej tonem, słuchała Jona tych wynurzeń pełnego i uciśnionego serca; a gdy zamilkł, rzekła:

— Będę ci więc mówiła o latach szczęśliwej naszej młodości. Czy chcesz, aby ta niewidoma zaśpiewała nam piosnkę o dzieciństwie? Głos jej łagodny i melodyjny, a słowa piosnki nie zawierają żadnego przystosowania do przykrych dla ciebie przedmiotów.

— Czy pamiętasz słowa tej piosnki?

— Tak jest.

— Więc mi ją zaśpiewaj sama — obcy głos nie zachwyci słuchu mojego; twój zaś, Jono, pełen tylu wspomnień rodzinnych, miłszym zawsze był dla mnie nad wszystkie melodye Licyi lub Krety.

Jona skinęła na stojącą opodal niewolnicę, aby podała jej lutnię; poczem z czułością, jej tylko właściwą, śpiewała następane strofy:

## Żal nad upłynionem dzieciństwem.

### I.

Niezawsze niebo wiosenne  
Jaśniej słońcem pogody,  
Chmurzą szczęścia dni przemienne  
Dziecinnej lata swobody;  
Los nam każe od powicia  
Znosić płocze jego zmiany,  
I pod wonnym kwiatem życia  
Waż się kryje niedojrzany.

Ma i młodość swe cierpienia,  
Nieraz ją obecność nudzi,  
Często przeszłości wspomnienia  
I bliższe poznanie ludzi  
Poją goryczą wiek żywy—  
Lecz dla niej kwitną nadzieje.  
Nie jest *dzisiaj* nieszczęśliwy,  
Do kogo się *jutro* śmieje.

II.

Nie zawsze życia ostatek  
Sama tylko boleść goni:  
Ale jak zerwany kwiatek  
Traci świeżość farb i woni,  
Tak, gdy starość dłonią z lodu,  
Łańcuch błogich lat pokruszy,  
Bliscy naszego zawodu,  
Tracimy zwiędłej moc duszy.  
Już dla nas przyszłość jest niczem,  
Uśmiech z oczu łez nie ściera,  
Wszystko przed naszym obliczem  
Żalobną postać przybiera.  
Napróżno żalu głos tkliwy  
Zbiegłe chce wrócić nadzieje..  
Ach! ten *dziś* tylko szczęśliwy,  
Do kogo się *jutro* śmieje.

Smutna osnowa tej piosnki zgadzała się z obecnem umysłu Apaecidesa usposobieniem — głos weso-

łości nie pociesza głęboko zasmuconych, nie przynosi ulgi cierpiącym. Jak pijawka leczy ból wewnętrzny drażnieniem powierzchownym, tak i w boleściach duszy talent pocieszyciela zależy na wyrwaniu z głębi serca dręczących je bolesti i nadaniu im barwy łagodnej smętności. Apaecides uległ wpływowi głosu, który mu przypominał przeszłość, w połowie tylko malując boleść teraźniejszości. Wiele godzin przepędził z Joną, już to na braterskiej rozmowie, już na słuchaniu jej śpiewów, a gdy nakoniec powstał, aby się oddalić, umysł jego był spokojny i niejako uspiiony.

— Jono—rzekł, ściskając jej rękę—gdyby przed tobą oczerniono imię Apaecidesa, czy uwierzyłabyś rzuconym nań potwarzom?

— Nigdy, mój bracie, nigdy!

— Wszakże wierzysz jak cię twoja wiara naucza, że w drugim życiu jest kara dla występnych i nagroda dla cnotliwych?

— Mógłżebyś wątpić o tem?

— Wierzysz więc, że człowiek istotnie cnotliwy, przez gorliwość dla cnoty, winien poświęcić swą osobę a nawet życie swoje.

— Kto tak postępuje, staje się równy bogom.

— Wierzysz także, że w miarę okazanej w tem życiu czystości i meztwa duszy, cieszyć się będzie większą lub mniejszą szczęśliwością za grobem.

— Każą się nam tego spodziewać.

— Ucałuj mię, siostró... Jeszcze jedno pytanie... Masz zaślubić Glauka?... być może, iż twój z nim związek więcej się jeszcze przyłoży do naszego

rozłączenia; lecz nie o tem chcę mówić w tej chwili... Czy kochasz go?... Proszę cię, siostró, wyznaj mi to szczerze.

— Tak jest—wyrzekła Jona z zapłoniem.

— Czy serce twoje zdolnem jest zrzec się dla niego wszelkiej dumy, pogardzić niesławą i samą śmiercią nawet?

— Nieinaczej, wszystko to uczyniłabym dla Glauka, i przysięgam, nie byłoby to żadną z mojej strony ofiarą; cierpienia, chociażby najdotkliwsze, niczem są dla miłości.

— Dość mi na tem! — zawołał z uniesieniem Apaecides — kobieta tyle czuje dla człowieka, a człowiek miałby mniej czuć dla Boga?

Więcej nie powiedział; ożywione oblicze jego wyrażało natchnienie boskiego życia, pierś wznosiła się z dumą, oko niezwykłym zajaśniało blaskiem, a na czole malowała się wspaniałość męża, który śmie być cnotliwym; obrócił się ku Jonie i spotkał jej niespokojne i bojaźliwe spojrzenie. Ucałował ją czule, przycisnął do serca, i opuścił jej mieszkanie.

Długo jeszcze zaniemiała i zamyślona Jona pozostała na miejscu. Jej kobiety kilkakrotnie przychodziły z przypomnieniem, że dzień skłaniał się ku wieczorowi i że nadszedł czas przygotowania się na ucztę Dyomeda. Nakoniec przerwała swe zamyslenie, i nie z dumą piękności, lecz smutna, usiadła przy toalecie; jedna myśl tylko czyniła dla niej znośną konieczność udania się na tę ucztę: pewność widzenia



się z Glaukiem; będzie mu mogła powierzyć swą obawę i niespokojność o brata.

Miłość! jest jedno szczęście, które bardziej nad wszystko rozróżnia czyste tve i święte uczucia od występnych i niegodziwych, *Erosa* od *Anterosa*; tym tylko, których kochamy bez winy, zwykliśmy powierzyć wszystkie nasze domowe i osobiste zmartwienia. Dla występnych, miłość jest tylko namiętnością; jest to tylko kochanek z kochanką; dla cnotliwych, związek ten zawiera czułość, świętość i wiarę wszystkich innych uczuć na ziemi. Nie w ustach Heleny, lecz Andromaki umieścił Homer te tkliwe wyrazy, których prawda przeżyła doświadczenie wieków.

— Dopóki mój Hektor żyć będzie, w nim jedynym znajdę ojca, matkę, braci i całą moją rodzinę.

---

### ROZDZIAŁ III.

#### Zgromadzenie w dobrym tonie i modny obiad w Pompei.

Tymczasem Sallustyusz z Glaukiem wolnym krokiem zmierzali ku mieszkaniu Dyomeda. Pomimo swój tryb życia, Sallustyusz posiadał wiele gruntownych przymiotów. Byłby czynnym przyjacielem, pożytecznym obywatelem, słowem, wybornym człowiekiem, gdyby nie był postanowił być filozofem. Wychowany w szkołach Rzymu, naśladowającego Greków, i oddającego cześć ich mądrości, przejął się owemi sofizmami, przez które ówczesni Epikurejczycy kazili prostotę maksym znakomitego ich mistrza. Oddał się więc zupełnie rozkoszy, mniemając, że ten tylko jest mędrcem prawdziwym, kto w całym życiu jej tylko szuka i za jej idzie natchnieniem. W gruncie jednak wiele miał istotnego światła, dowcipu, dobroci, a serdeczna otwartość samych nawet jego występków nadawała im podobieństwo cnoty, zwłaszcza w porównaniu z rażącym zepsuciem Klaudyusza i nikczemną miękkością zniewieściałego Lepida. Z tej to przyczyny Glaukus przenosił go nad inaych swych towarzyszy, a nawzajem Sallustyusz, oceniając szlachetne

przymioty Ateńczyka, lubił go tak prawie jak murenę na zimno i czarę najlepszego Falernu.

— Ten Dyomed—rzekł Sallustyusz — ten starzec nieokrzesany, ma jednak niektóre godne szacunku zalety... w swojej piwnicy.

— I inne więcej powabne... w córce.

— Które przecież, jak mi się zdaje, nie odniosły żadanego nad tobą zwycięstwa. Klaudyusz byłby najszcześniejszym, gdyby mógł zostać twoim spadkobiercą.

— Czemużby nie mógł?... za stołem jego piękności żaden gość nie jest muchą \*).

— Zanadtoś ostry, mój Glauku... jednakże w postawie Julii jest coś prawdziwie korynckiego... Ona i Klaudyusz?... możeż być lepiej dobrane małżeństwo!..., Trzeba być jak my dobrymi, aby chociaż pozorną zachować przyjaźń dla tego oszusta.

— W życiu towarzyskiem, chcąc je uprzyjemnić, musimy znosić podobnych. On mnie bawi...

— I pochlebia, za co mu płacisz nielada hojnością.

— Słyszałem nieraz od ciebie, że swoje stałe w grze szczęście mniej winien ślepej bogini \*\*), niż własnej zręczności. Maż to być prawdą?

— Mój przyjacielu, kto chce żyć jak przystoi na rzymskiego Patrycyusza, a nie ma o czem, nie

---

\*) Tak nazywano nieprzyjemnego i nieproszonego gościa.

\*\*\*) Fortunie.

jestże zmuszonym szukać środków, odpędzających niedostatek?

— Czy tak?.. lecz od niejakiemu już czasu coraz bardziej obrzydza mi sobie kosztowną w kości zabawę. Ach! Sallustyuszu, zostawszy mężem Jony, odkupię innem, jak dotąd, postępowaniem wszystkie błędy mojej niebaczonej młodości. Ty i ja, jesteśmy zrodzeni do celu więcej szlachetnego; do Świątyni, a nie do szopy Epikura.

— Niestety! wiemyż co więcej nad to, że życie krótkie; że wąta przedza dni naszych dziś jeszcze przerwana być może?... i cóż znajdziemy za grobem?... według mnie, ta tylko mądrość jest prawdziwą, która do nas woła: używajcie!

— Czyliż możemy używać wszystkiego, co się nam w życiu podoba?

— Wszystkiego, co nie jest niepodobnem. Jesteśmy jak prowadzeni na śmierć zbrodniarze, którym potrzeba mieć zawrócone winem i mirą głowy, aby otwarta pod ich nogami przepaść wydała się mniej straszną. Wyznaję, że inaczej sama myśl o życiu byłaby dla mnie nieznośną. Bieda temu, kto nie hołduje Bachusowi!

— A jednak ze wszystkich jego czcicieli, ze wszystkich zwolenników Epikura, ty jeden jesteś, kochany Sallustyuszu, którego uważam za godnego szczerzej i wiernej przyjaźni; i gdyby życiu mojemu groziło jakie niebezpieczeństwo, ty jeden podałbyś mi dłoń ratującą.

— Kto wie?... gdybyś mnie znalazł przy smacznej wieczerzy... ale otóż i dom naszego Amfitryona..



Weszli pod niewielką wystawę, gdzie niedawno widzieliśmy Medona; otwały się podwoje i, nawykły do kupieckiej grzeczności, gospodarz powitał swych gości przy wnijsciu do przygotowanego na ich przyjęcie wspaniałego salonu.

Chępiący się swemi bogactwami Dyomed chciał uchodzić za namiętnego sztuk pięknych lubownika, i dla tego podziwiał wszystko, co było greckie: unosiłby się nad kłocem wapiennego kamienia, gdyby mu powiedziano, że był znaleziony w pracowni genialnego Praksytelesa.

— Przekonasz się, drogi przyjacielu — mówił, ściskając rękę Ateńczyka, że i ja także mogę się zaliczać do znawców piękności klasycznych. Sala, w której wieczerzać będziemy, jest zupełnie w gusicie twojej rodzinnej krainy. Zaczny Sallustyuszu, mówiono mi, że w Rzymie niewiele podobnych widzieć można.

— Zapewne — odpowiedział z półuśmiechem zapytany Sallustyusz. — Wy, Pompejanie, uniecie łączyć wszystko, co jest najpiękniejszego i najokazalszego w Grecyi i w Rzymie. Obyś, Dyomedzie, był równie doskonałym znawcą sztuki kuchennej, jak jesteś budowniczej.

— Spodziewam się... dzięki Jowiszowi, znajdziesz w Pompei i smak w podniebieniu i pieniądze w kieszeni.

— Dwa dary nieocenione!... lecz widzę piękną Julię!

Wspomniałem już o głównej różnicy w obyczajach Aten i Rzymu: w pierwszym z tych miast kobiety ucziwe nigdy prawie nie usiadły za jednym z mężczyznami stołem; w drugim były najmiłą biesiadą ozdobą. Ukazała się więc w salonie piękna Julia, odziana szatą śnieżnej białości, wyszytą złotem i perłami.

Zaledwie dwaj przyjaciele zdążyli ją powitać, gdy razem prawie przybyli Pansa z swoją małżonką, wdowa Fulwia, Lepidus, Klaudyusz, Senator rzymski, poeta Fulwiusz i kilku mniej znakomitych współbiesiadników; wkrótce za nimi wszedł, w towarzystwie swojego nieodstępного cienia (*umbra*), wojownik z Herkulanum; Jony czekano jeszcze.

Nawykła do pochlebstwa grzeczność, nie pozwalając starożytnym usiąść natychmiast po przybyciu, kazała im wprzód obejrzeć pokoje, chwalić ich rozkład, podziwiać obrazy, marmury, brzozy, kwiaty i wszystko, czem je ozdobiono. U nas, gdzie obojętność należy do pierwszych dobrego tonu przymiotów, podobna grzeczność byłaby oznaką najgrubszego wychowania i poniżającym dumę naszą dowodem, żeśmy nigdy nic równie pięknego nie widzieli.

— Przepyszny posąg Bachusa!—ozwał się grzeczny Senator.

— Drobnostka—odpowiedział Dyomed.

— Jakie piękne, jak wykończone obrazy!—mówiła Fulwia.

— Drobnostka—odrzekł znowu chwalony z ich wyboru właściciel.

— Co za wspaniałe świeczniki!—zawołał wojownik.

— Wspaniałe!—powtórzył *umbra*.

— Drobnostka, drobnostka—odpowiadał zawsze wdzięczny gospodarz.

Tymczasem Glaucus zbliżył się do okna, wychodzącego na taras; Julia stanęła przy nim.

— Naucz mię—rzekła—jestże to cnotą ateńską unikać dziś tych, którzy wczoraj szukani przez nas byli?

— Piękna Julio... nie.

— A jednak postępowanie Glauka zdawało się utwierdzać we mnie to niemiłe przekonanie.

— Glaucus umie szacować przyjaciół.

— I przyjaciółki?...

— Jeśli są niemi w istocie.

— Możeż być w ich liczbie przyjętą Julia?

— Przyjaźń tak miłej osoby stałaby się zaszczytem i chlubą samego nawet Cezara.

-- Żądałabym mniej pochlebnej, a więcej otwartej odpowiedzi... Prawdaż to, że uwielbiasz Neapolitankę?

— Czyliż piękność nie powinna być zawsze i powszechnie wielbioną?

— Ach! przebiegły Greku, ty mnie zrozumieć nie chcesz... lecz powiedz, chceszże mieć we mnie przyjaciółkę?

— Dziękowałbym bogom!

— Dlaczegoż, gdy mówisz ze mną, oko twoje wydaje tyle niespokojności? rumienisz się, drżysz,

bledniejsz?.. uspokój się.., już widzę wchodzącą Jonę.

Jakoż w tej chwili weszła Jona i wzruszenie Glauka usprawiedliwiło zazdrość rywalki.

— Julio, miałyżby uczucia moje dla Jony czynić mię niegodnym twojej przyjaźni?.. nie daj mi wierzyć w uwłaczające płci twojej twierdzenia poetów.

— Dobrze... masz słuszność... Glauku, jeszcze chwilę... A więc się żenisz z Joną?

— Jeśli los zechce być mi przychylnym... tak jest.

— Spodziewam się, że w zakład naszej wznowionej przyjaźni przyjmiesz odemnie mały dla twojej przyszłej podarunek; będzie on rękojmią mojego dla niej szacunku i szczerych życzeń, abyście w pożyciu waszem byli najszcześniejszymi.

— O Julio! najmniejszy dar przyjaźni z rąk twoich przyjmę jak błogą przepowiednię życzliwej dla nas Fortuny.

— Po skończeniu naszej biesiady, jeśli mnie zechcesz odprowadzić do moich pokojów... mam wiele miłych fraszek... sam z nich wybierzesz mogące się podobać Jonie.

Julia, zostawiając Glaukowi wolność zbliżenia się do kochanki, odeszła w głąb salonu, gdzie wdowa Fulwia i żona Pansy ważną i zajmującą toczyły rozmowę.

— Możesz mi wierzyć, Fulwio, że według najświeższych z Rzymu doniesień, moda niskiego trefienia włosów już jest prawie zapomnianą; teraz je noszą albo wzniesione w podobieństwie do wieży, jak



to widzisz na głowie Julii, albo ułożone w kształcie hełmu, jak moje.

— Jakto? i nikt nie nosi na wzór Greczynek, jak ta Neapolitanka?

— Co zaś! rozdzielone nad czołem, z tym splecionym węzłem u góry? nic śmieszniejszego! zdaje mi się, że patrzę na posąg Dyany... jednakże ta Jona jest piękną, ach!...

— W oczach mężczyzn, bo jest bogata. — Słyszałam, że ma poślubić Ateńczyka... niewiekie szczęście... Ci zwodziciele cudzoziemscy tak są zmienni... jestem pewna, że nieraz zapłacze na jego niewierność.

— Julio—mówiła Fulwia do nadchodzącej córki Dyomeda—czy już widziałaś tygrysa?

— Nie.

— Jakto!... całe nasze miasto biegło na jego spotkanie. Nie uwierzysz, jaki piękny!

— Byleśmy tylko znaleźli godnych jego i lwa zapaśników — rzekła Julia, obracając się do żony Edyla;—twój mąż tak jest nieczynny, że dotąd jeszcze nie mamy żadnego.

— Ach! to prawda, lecz nie jego w tem wina; słabość to, że nie powiem głupstwo, praw nowopowrotzonych... tak mało jest rodzajów zbrodni, o które przekonanych skazują na walkę śmiertelną... a co smutniejsza, nasi dzisiejsi szermierze tak są niedołężni, że z nich najśmielszy chciałby się tylko probować z wieprzem, albo z bykiem; ale ze lwem lub tygrysem? o, to nie dla nich! Lecz przestańmy mówić o tem. Czy byłaś kiedy w domu poety Fulwiusza?

— Nigdy; jestże piękny?

— W najnowszym guście; lecz mówiono mi, że w nim jest tyle nieskromnych malowideł, iż kobieta naszego wychowania nie mogłaby ich widzieć bez za-  
płonienia.

— Ci poeci tak są często oryginalni — rzekła wdowa;—lecz Fulwiusz jest niezmiernie interesujący; jego wiersze tyle mają uroku... prawdziwie, nasz postęp w poezyi może się nazwać cudownym!

— Jaka moc! jaki ogień! jak genialne pomysły! a nadewszystko ta tkliwa naturalność...—mówiła romantyczna małżonka Edyla —pojąć nie mogę, że są jeszcze dusze nieczułe, nie umiejące oceniać tylu tak rzewnych i tak wzniosłych piękności... czemuż są przy nich owe nudne starego piśmiennictwa baz-  
graniny?

Przerwał tę literacką rozprawę głos rycerza z Herkulanum.

— Na Marsa!—rzekł, zbliżywszy się do trzech zajętych nią Pompejanek;—patrzac na tyle powabów, gotów jestem zawrzeć wieczystą z pokojem umowę!

— Pochlebstwo w ustach bohatera!

— Na ten łańcuch, na tę otrzymaną z rąk własnych Cezara męztwa mojego nagrodę, przysięgam, że jestem tak szczerym, jak nim być powinien każdy noszący imię żołnierza.

— Jakże mu się wydają obywatelki Pompei? — spytała Julia.

— Piękniejsze od Nimf Wenery! wprawdzie dostrzegam, że nie jestem przez nie źle widziany; lecz to w mych oczach podwaja ich wdzięki.

— Kochamy walecznych — rzekła żona Pansy.

— Przez Herkula!... wyznam jednak, że zbyt-  
czna słynność ma często swoje nieprzyjemności, w  
Herkulanum nie mogę się przecisnąć przez tłumy  
chcących mnie oglądać; a tu znowu... Zapewne, hołd  
oddawany wysokiej zasłudze miłym jest dla odbiera-  
jącego, lecz ciągle, i, że tak powiem, natrętny, staje  
się w końcu ciężarem.

— Prawda, o Wespiuszu! (to było nazwisko bo-  
hatera) wielka prawda! — zawołał, blisko stojący,  
poeta—doświadczam jej na sobie.

Wespiusz zmierzył go okiem pogardy.

— W jakiejże ligii służyłeś?

— Pod dowództwem wielkiego, niezwykłego  
go Mantuańczyka.

— Nie znam żadnego pod tem nazwaniem, w ja-  
kiejże wojnie, w jakiejże potyczce?

— Przy zdobyciu Helikonu.

— Nigdy o tem nie słyszałem.

— To jest żart tylko, mężny Wespiuszu — rze-  
kła z uśmiechem Julia.

— Żart!... ze mnie!..

— I sam Mars nawet był zakochanym w matce  
miłostek i śmiechów. Jestem poeta Fulwiusz, a Mu-  
zy unieśmiertelniają bohaterów.

— Jeżeli potrafią unieśmiertelnić Wespiusza—  
szepnęła Sallustyusz do ucha Julii—potomność widzieć  
w nim będzie najdobitniejszy obraz naszych niezno-  
śnych samochwałów.

Wojownik widocznie był zmieszany... szczę-  
ściem dla niego dano znak do wieczerzy.

Dwa końce stołu, przeznaczone ówczesnym zwyczajem dla gospodarza i gospodyni, zajęli Dyomed i Julia; środek, jak miejsce honorowe, był wyznaczonym dla Senatora i Edyla; innym, wybrany z pomiędzy pierwszych Dyomeda niewolników, ceremonialny wywoływacz (*nomenclator*), wskazał miejsca tak przezornie dobrane, że i młode i starsze kobiety miały odpowiednich swojemu wiekowi sąsiadów; co jednak niezawsze podobać się może chcącym uchodzić za młodsze, niż są w istocie.

Krzesło Jony stykało się z łóżem jej kochanka \*) Ozdobne siedzenia pokryte były bogatemi, haftowanymi w Babilonie kobiercami. Nad stołem unosił się rozpięty wspinały baldachim. Ustawione w czterech kątach salonu trójnogi wyziewały rozkoszne wonie mirry i innych najrzadszych i najkosztowniejszych kadzideł, a stojący w głębi bufet jaśniał tysiącem złotych i srebrnych naczyń, rozstawionych jedynie (jak to bywa i u naszych bogaczy) dla dogodzenia dumie właściciela, przez wykaz jego nadmiernych dostatków.

Nie zapomniano o zwykłej na cześć Bogów libacyi; niewolnicy uwieńczyli skronie biesiadujących uwitemi z róż i bluszczu wieńcami; poczem Dyomed uznał potrzebę wybrania Króla uczy (*basileus*), co mu nie było tak łatwem. Poważny i osłabiony wiekiem Senator nie mógłby godnie odpowiedzieć przy-

---

\*) U Rzymian za domowym tylko stołem wolno było leżeć kobietom.



wiązaniem do tego urzędu obowiązkom... Edyl Pansa byłby nierównie zdolniejszym, lecz wybór niższej o jeden tylko stopień osoby mógłby się wydać pewnem dla pierwszej ubliżeniem... szczęściem, oko wahaającego się gospodarza spotkało kwitnącą zdrowiem i wesołością twarz Epikurejczyka, i Sallustyusz otrzymał wysoki tytuł Namiestnika Bachusa, *arbiter bibendi*.

— Słuchajcie więc!—zawołał wybrany *basileus*; —dla uległych moim rozkazom będę przychylnie łaskawym, lecz nieposłuszni znajduję we mnie drugiego Minosa.

Już się stół uginał pod ciężarem ustawionych na nim wytwornych naczyń z kosztownem i smacznem jedzeniem; niewolnicy obnieśli wkoło wyzłocone srebrne, z pachnącą wodą miednice; umyto ręce i zaczęła się biesiada.

Powszechna i nic z początku nieznacząca rozmowa dała Jonie i Glaukowi możność prowadzenia cichej, przez nich tylko zrozumianej, lecz miłszej i silniejszej nad wszelką [choćby najszczytniejszą] rozmowę.

Julia okiem, pałającym zawiścią i zemstą obrażonej miłości własnej, śledziła najmniejsze kochanków poruszenie; widział to Klaudyusz i nie zaniedbał korzystać z tak przychylnych jego widokom spostrzeżeń. Córka znanego z bogactw Dyomeda była tem samem nieporównaną w oczach jego pięknocią, a miłość jej dla Ateńczyka nie była tak wyłączną, aby ni-

szczyła nadzieję młodzieńca wysokiego rodu i ujmującej powierchowności, jakim był Klaudyusz.

Tymczasem, dzięki niezmordowanej gorliwości Sallustyusza, niewolnicy nie mieli ani jednej chwili spoczynku; każda wyprózniona czara musiała natychmiast być napełnioną, tak, że zacny kupiec zaczął już sobie wyrzucać zbyt trafny wybór Króla uczty i przeklinać ochoczą na jego rozkazy usłużność.

— Przebacz mi, o, Senatorze! — zawołał Sallustyusz; — twoja purpurowa toga bynajmniej cię nie uwalnia od winnego mi posłuszeństwa; pij!

— Na Bogi! jestem stary i słabowity... racz się zlitować nademną.

— Nic z tego!... Monarcha powinien być stróżem prawa zarówno wszystkich obowiązującego; pij!

I biedny Senator pić musiał, chociaż każde wychylenie kubka zbliżało go do brzegów Styksu.

— Powoli, powoli, mój królu — przemówił głosem jęczącym Dyomed—już czuć zaczynamy...

— Zdrada!... — przerwał Sallustyusz! — precz ztąd, Brutusy!

— Lecz nasze damy...

— Lubią czcicieli boskiego kochanka Aryadny. I uczta szła żywiej; już się zbliżała do końca, gdy nagle otworzył się słup mały, w niewielkiej odległości stojący, pękły ukryte w nim sprężyny, a obfita rosa wytryskującej woni zwilżyła czoła i szaty biesiadujących; poczem zniknął wiszący nad stołem baldachim, i ujrzeli skaczącego na wyprężonej linie, jednego z celujących w tej sztuce artystów.

To grożące głowom zjawisko mogłoby przerazić niejednego z naszych widzów; lecz lubownicy ówczesni patrzyli na nie z rozkoszą i ciekawością; im więcej zuchwały skoczek zdawał się bliskim spadnięcia na głowy siedzących pod nim, tem zwinniej odzykiwał straconą niby równowagę, tem żywsze i głośniejsze odbierał oklaski. Był on podobny do człowieka dotkniętego dziwną, zmuszającą do tańczenia chorobą, dotąd jeszcze znaną w Kampanii pod imieniem Tarantuli, której gwałtowność sama tylko melodia rzewnej muzyki złagodzić i uzdrowić może; jakóż zaledwie podobna melodia słyszeć się dała na przyległym do sali tarasie, zniknął bawiący kuglarz, a natomiast miły dźwięk cichego pienia zachwyił ucho towarzystwa.

### **Muzyka w czasie uczty powinna być słodką.**

#### I.

Słuchajcie!... przez te kwiatów festony,  
Przez krzewin sploty kwitnące,  
Naszych wam pieśni odgłos pieszczony  
Przesyła echo jęczące.

Kiedy w Naxos opuszczoną  
Ciesząc nimfę Psylas \*) młody,  
Pod kryjącą dzień zasłoną  
Lubej kosztował nagrody,

---

\*) Bachus.

Gdy na niepomną o świecie  
Zdrój niebieskich pieszczot spływał,  
Pan \*), na wiejskim nucąc flecie,  
Taką im piosnkę przygrywał:

II.

Niechaj brzmi trąba na czele szyków,  
W czas krwawej Marsa wyprawy;  
Grzmiącym być winien hymn wojowników  
Gardzących śmiercią dla sławy.

Lecz cicha jak szmer strumyka,  
Jak tkliwego oddech łona,  
Słodsza dla nas jest muzyka  
Czuciem miłości natchniona,  
Miłość szczęście życia dwoi;  
Kogóż jej urok nie wzruszy,  
Gdy się z sercem serce spoi  
I dusza śpiewa dla duszy?

Słońce tymczasem już było bliskiem zachodu  
powstał, chcąc odejść, znużony Senator.

— Wstrzymaj się—zawołał Dyomed — wprzód  
nim się pożegnać każesz, chciej być świadkiem naszej  
ostatniej rozrywki.

To mówiąc, skinął na niewolnika, który natych-  
miast przyniósł tacę okrytą jednostajnymi starannie  
zwiniętymi biletami, i każdy z gości szczodrego Dyo-  
meda był wezwanym do wyciągnięcia jednego z tych  
biletów. Był to rodzaj bawiącej niegdyś Augusta

---

\*) Bożek ogrodów.



loteryi; nierówność i częstokroć śmiesząca trafność wygranych losem przedmiotów składały główną tej zabawki przyjemność. I tak naprzykład: Fulwiusz wyciągnął zbiór własnych jego poezyi, i nigdy żaden doktor medycyny nie połknął z większym niesmakiem zalecanego innym lekarstwa.—Rycerz z Herkulanum kłębek miękkiego jedwabiu; co dało powód do zaprawionych dowcipem porównań mężnego Wespjusza z przedzającym kądziel kochankiem Omfali.—Julia dostała męską zausznicę, a Lepidus puszkę bielidła. Zapłonął z gniewu Klaudyusz, wygrawszy kilka par kostek szulerskich. Los najwyższą wygraną przeznaczył dla Glauka; nieszczęściem, piękna z białego marmuru Fortuna, dzieło słynnego w Grecyi rzeźbiarza, wypadła z ręki podającego ją niewolnika, i z kruchej bogini same tylko zostały odłamki.

Na ten złowieszczy wypadek zimna trwoga przejęła obecnych, lecz Glaukus, choć może niemniej od innych zabobonny, nie okazał najmniejszego wzruszenia.

— Przyjmuję tę błogą przepowiednię — rzekł z czułością do bladej jak strzaskany marmur kochanki;—Fortuna, oddawszy mi serce Jony, wiedziała, że nic niema, czemby mnie jeszcze udarować mogła.

Dla rozpędzenia do reszty sprawionego tym wypadkiem przerażenia, Sallustyusz, podnosząc czarę kwiatami uwieńczoną, wykrzyknął zdrowie amfitryona; poczem, wychyliwszy ostatnią na cześć Merkurego z proźbą, aby im zesłał sny przyjemne, wdzięczni za piękne i wspaniałe przyjęcie biesiadnicy, pożegnali gościnnego Dyomeda.

Po odejściu Jony Glaukus udał się do pokojów czekającej na jego przybycie Julii.

— Kochasz więc Jonę — rzekła, spuszczać oczy; ona jest tak piękną. .

— Jak Julia wspaniałą. Tak jest; kocham Jonę; obyś w tłumie wielbiących twoje wdzięki znalazła równie szczerego kochanka!

— Patrz, Glauku; te perły... oddasz je twojej żonie. Spodziewam się, że ten mały zakład mojej dla was przyjaźni nie będzie przez nią wzgardzony.

Zwyczaj przyjmowania przedślubnych podarunków tak był upowszechnionym, iż Glaukus nie wahał się przyjąć podobnej ofiary z rąk córki Dyomeda; wtenczas Julia, podając mu niewielki kubek wina.

— Wypieś — rzekła — niejedną czarę z moim ojcem; wypij te kilka kropel ze mną. Zdrowie Jony i pomyślność twojego z nią pożycia!... — i zdradliwe jej usta dotknęły się brzegu zatrutego naczynia.

Grzeczny Ateńczyk wychylił je do dna; a Julia, nie wiedząc o podejściu Nidy, oczyma żądy i nadziei wyglądała skutku zapewnień czarownicy. Próżne oczekiwanie: Glaukus kończył spokojnie przerwana na chwilę rozmowę, i zawiedziona piękność nie dostrzegła najmniejszego w nim wzruszenia, najmniejszej w jego uczuciach przemiany.

— Nic to — mówiła do siebie — czyliż mnie nie uprzedziła czarownica, że działanie jej cudownego napoju, aczkolwiek niezawodne, może być nie tak jakbym żądała pośpieszne?... lecz jutro, biada Jonie!

Jutro, niestety! biada Glaukowi!

## ROZDZIAŁ IV.

### Krótką przerwa.—Ustęp.

Miotany niespokojnością, Apaecides błąkał się dzień cały po najmniej zwiedzanych okolicach Pompei. Już słońce było na schyłku, gdy się zatrzymał nad brzegiem Sarnu, zkąd przez ciemną drzew i winnicę gęstwinę przebijał się gdzieniegdzie widok wznioślejszych miasta budowli. Głęboką ciszę przerywał jedynie szelest wijących się po trawie owadów i przerywany śpiew na pół uspionych ptaków.

Dumał, wpatrując się w spokojny bieg rzeki, znużony *neofita*, gdy lekkie mruczenie przerwało ciąg dręczących myśl jego wyobrażeń.

— Leż, mój biedaku, ozwał się głos łagodny, krok człowieka żadnem twojemu panu nie grozi niebezpieczeństwem.

Zbliżył się Apaecides i poznał tajemniczego starca, którego już widział na zebraniu Nazarejczyków. Poważny ten patryarcha siedział na ułamku skały; obok niego leżały kij i torba, a przy nogach mały piesek, wierny towarzysz jego niebezpiecznych pielgrzymek.

— Mój ojcze!—zawołał ucieszony młodzieniec—  
twój widok jest dla mnie balsamem, leczącym trwożę  
zbołałej duszy mojej... lecz cóż znaczą ten kij? ta tor-  
ba podróżna?... miałżebyś nas opuścić?

— Krótką jest reszta dni moich na ziemi, odpo-  
wiedział starzec; używam ich, jak powinienem, prze-  
chodząc z miejsca na miejsce, aby pocieszać wierzą-  
cych w jedyne Boga i rozszerzać świętą naukę sy-  
na niebieskiego.

— Mówiono mi, żeś oglądał oblicze Chrystusa?

— Jego boskie miłosierdzie wyrwało mnie ze  
szponów śmierci, z mieszkania umarłych. Słuchaj  
mnie, mój synu, i niech prawda z ust moich umocni  
w twem sercu wiarę, której zostałeś wyznawcą. W da-  
lekiej ztąd ziemi Judzkiej, w mieście Dawida, żyła  
wdowa kornego ducha i smutnego serca; albowiem ze  
wszyscy ogniw, które składały łańcuch jej życia,  
jedno już tylko zostało... jej syn. I kochała syna mi-  
łością melancholiczną, albowiem on jej przypominał  
tych, których stratę oplakiwała; i syn ten umarł,  
i wiotka trzcina, ostatnia podpora nieszczęśliwej,  
złamaną została, i ostatnia kropla oliwy wyschnęła w na-  
czyniu nieszczęśliwej. I niesiono umarłego na miej-  
sce, gdzie miał być pogrzebionym, lecz w bramie mia-  
sta ucichły żałobne śpiewy, albowiem otoczony tłum-  
nem zebraniem ludu nadchodził syn Boski. I matka  
zmarłego nie wydawała jęków, nie wylewała łez bo-  
leści, albowiem żal zamknął jej usta i wysuszył źró-  
dło jej oczu. I zlitował się Pan nad nieszczęśliwą,  
i dotknął się trumny, i rzekł „wstań, młodzieńcze!”



i przebudził się umarły i oglądał oblicze Pana nad Pany. O, jakże czoło Zbawiciela było pogodne! jaki wyraz dobroci i miłości w jego niebieskiem spojrzeniu!... Wstałem i żyjący rzuciłem się w objęcia matki. Tak, ja byłem synem wdowy, ja umarłem i zmartwychwstałem! I powstał okrzyk radości, i zabrzmiał hymn wesela, i chóry aniołów powtarzały wzniesione do niebios wołania: Bóg lud swój odwiedzić raczył, Bóg stał się człowiekiem! cześć mu i chwała na wieki!

Zadrżał Apaecides; strach mu najeżył włosy... mówił więc z człowiekiem, któremu jest znaną tajemnica śmierci!

— Do tej chwili byłem, jak inni ludzie, chciałem jedynie rozkoszy życia; lecz przebudzony ze snu umarłych, przywołany na ziemię, jako żyjący dowód cudownej Niebios potęgi; świadek nieśmiertelności stawszy się napowrót śmiertelnym, wyniosłem z grobu nową duszę, nowe godniejsze Boga istnienie. O nieszczęsne Jeruzalem!... Widziałem dawcę życia skazanego na śmierć haniebną! zdaleka od tłumu zaślepionych, widziałem światło niebieskie unoszące się nad krzyżem zbawienia; słyszałem sprośne wściekłego gniewu bluźnierstwa... krzyczałem, groziłem!... i nikt mię nie słuchał, i głos mój był głosem wołającego na puszczy. Lecz i wtenczas nawet zdawało mi się, że oko syna człowieczego szukało oka mojego; że usta jego weselił uśmiech zwycięzki. . i umilkłem, i dusza moja została spokojniejszą. Ten, którego jedno słowo wskrzeszało umarłych, miałaby usnąć na zawsze?

Słońce rzuciło raz jeszcze czysty swój promień na wybladłą lecz śmiałą twarz jego i znikło. I ofiara spełnioną została, i ciemność okryła ziemię, i z łona ciemności dał się słyszeć głos przeraźliwy... i niezmierną przestrzeń światów zaległa cichość ponura.

Ach! któż opisać zdoła całą tej nocy okropność!.. Drżała występna ziemia, chwiały się mury nieszczęsnego miasta, uciekli bogobójcy i po bezludnych ulicach błąkały się cienie umarłych. Widziałem grobowe ich postaci, i poznałem, i byłem przez nich poznany... Zmartwychwstali, aby dać świadectwo żyjącym, iż umarli nie umierają.

Od tej straszliwej nocy myśl moja przestała należeć do znikomego świata. Obiegnęłam najdalsze krańce ziemi, ogłaszając bóstwo Chrystusa, i niejednym przezemnie nawróconym powiększył jego owczarnię. Jestem podobny do wiatru; jak wiatr oczyszczam ziemię z głuźdzących ją chwastów, i zasiewam na niej drogie ziarno wiary, nadziei i miłości.

Mój synu, już może na tym padole nie ujrzysz mnie więcej... oby godzina, którą tu ze mną spędziłeś, została niestartą w pamięci serca twójego!.. Czemże jest życie doczesne, to wątle nocnej lampy światełko; lecz światło duszy jest jak ta gwiazda na wiecznym Niebios sklepieniu, zawsze świetna i nigdy niezgaszona.

O! jak jest wielką różnicą pomiędzy dziką gwałtownością fanatyzmu a łagodnym i czystym uczuciem religii!.. Herciczny chrześcijaństwo Olinta był więcej odwagą męczennika, niż pobożnością święte

go: przebudzał, ośmielał i zapalał, lecz niepodbijał duszy, nie przywiązywał serca; gdy przeciwnie toż samo wyznanie w uściech pielgrzyma oddychało samą słodyczą wiary; samą miłością Boga i człowieka.

— A teraz, mówił, powstając, gdy już chłód wieczorny crzeźwia powietrze, czas kończyć drogę moją do stolicy cesarów. Znajdę w niej jeszcze kilku świętych, którzy, jak ja, oglądali oblicze Pańskie; chcę ich widzieć przed śmiercią.

— Wśród nocy?... podróż tak długa i tak niebezpieczna!...

— Niebezpieczna?... Cóż może zatrząść wierzącego, że Najwyższy jest jego przewodnikiem i obrońcą? Mój synu, dla pielgrzyma, w czasie pobożnej jego wędrówki, wicher zamarzelj północy jest lekkim i ciepłym wietrzykiem, najczarniejsza puszcza miejscem lubego i bezpiecznego spoczynku, a tysiące gwiazd rozślanych dłonią Przedwiecznego na wiecznym niebios błękiecie, świadectwem i rękojmą nieśmiertelności.

Kończąc te słowa, podniósł kij i torbę, przycisnął do serca przejętego czią i miłością młodzieńca; i odszedł krokiem powolnym lecz silnym jeszcze; a rozrzewniony Apaecides wtenczas dopiero przypomniał sobie umówioną z Olintem schadzkę, gdy już wzrok jego napróżno szukał starca, który go natchnął słodsze i pewniejsze przekonaniem o świętości praw i nauki Chrystusa.

---

## ROZDZIAŁ V.

### Skutek napoju czarownicy.

Glaukus, wróciwszy do domu, znalazł Nidyę pod wystawą, zdobiącą wnijscie do ogrodu. Niespokojna i trwożliwa czekała na jego przybycie, chcąc użyć pierwszej sposobności do podania mu napoju, którego mniemany skutek miał być początkiem jej szczęścia, chociaż w gruncie serca pragnęła zarazem aby ten jej zamiar nie tak rychłe uzyskał spełnienie. Dziwną jest zaiste ta wewnętrzna walka odwagi z nieśmiałością, której w biegu naszej młodości wszyscyśmy doświadczać musieli. Ileż to razy w czas rannej przechadzki, lub w tłumie wieczornych zgromadzeń, miotani niepojętą uczuc sprzecznością, chcieliśmy zarazem i szukać i unikać kochanki serca naszego! jak często biegliśmy wyznać jej miłość naszą, a wróciliśmy, jednego nie wyrzekłszy słowa! W takim to usposobieniu umysłu, z płonąca twarzą i drżącym sercem Nidya usłyszała głos wchodzącego Glauka.

— Czekalaś na mnie, Kochane dziecię?



— Nie; polałam kwiaty i usiadłam, chcąc spo-  
cząć na chwilę.

— Gorąco mi,—rzekł, siadając Glaukus, — bądź  
tak dobrą, przywołaj którego z niewolników, aby mi  
przyniósł co chłodzącego.

Owóz prędsza, niż się spodziewać mogła, spo-  
sobność dla Nidy. Jej oddech tak był gwałtownym,  
iż zaledwie wyrzec mogła.

— Sama przyprawię natychmiast napój ulubiony  
Jonę,—miód i lekkie wino ze śniegiem.

— Dziękuję ci, napój lubiony przez Jonę bę-  
dzie dla mnie nektarem, chociażby miał być tru-  
cizną.

Gorzki uśmiech poruszył usta Nidy; odeszła  
i wnet wróciła, przynosząc kubek nalany sokiem lu-  
dzącej ją nadziei. Z jakąż radością oddałaby resztę  
swojego życia za jedną chwilę ujrzenia zorzy, zwia-  
stującej pierwszy dzień wzajemnej Glauka miłości;  
jak odmienne były jej uczucia od gwałtownych unie-  
sień Julii! zalotność, duma, żądza piekielnej zemsty  
i nikczemnego tryumfu ścierały wrażenia miłości  
w sercu wyniosłej córki Dyomeda; sercem Nidy je-  
dna wyłącznie władała namiętność, namiętność niepo-  
konana, szalona, występna może, lecz nie plamiąca  
szlachetniejszych w niem skłonności: kochała... miłość  
była jej słońcem, jej życiem!... mogłaż nie żądać, aby  
wzajemnie była kochaną?

Jej lica przed chwilą tak ożywione, pokryła bla-  
dość śmiertelna; odrętwiała, zaledwie oddychać mo-  
gąca, czekała na pierwszy [promyk swojego słońca,  
na pierwsze słowo kochanka.

Już Glaukus połknął był część czwartą podanej mu trucizny, gdy przypadkiem rzucił spojrzenie na twarz nieszczęśliwej Nidy, a uderzony przerażającą zmianą jej rysów, zawołał:

— Nidyol ty cierpisz?... cóż ci jest, moje biedne dziecię?

To mówiąc, rzucił kubek i powstał, chcąc się przybliżyć do niej. Nagle uczuł bolesne ściśnienie serca i zawrót głowy; zdało mu się, że ziemia zniknęła pod jego stopami, że się unosi w powietrzu; pusta nadprzyrodzona wesołość owładła jego umysłem; śmiał się, klaskał rękami, kręcił się i skakał, podobny do natchnionej duchem proroczej Sybilli. Wzburzona krew w nabrzmiąłych żyłach Ateńczyka leciała pędem wezbranego potoku; słyszał, jak płynęła, czuł, jak się wznosiła do czoła, jak z niego wytrysnąć usiłowała; to znowu, przez ćmiącą wzrok jego zasłonę, widział ożywione na ścianach obrazy, a ucieszony widokiem tańczących przed nim postaci, nucił im piosnki godowe; co zaś najdziwniejsza, cierpiący, nie cierpiał; obłąkany, mniemał się najzdrowszym i najszcześniejszym z ludzi.

Podziwienie, przestrasz, okropność szarpały duszę Nidy; nie mogła widzieć konwulsyjnych poruszeń i chwiejących się kroków pozbawionego zmysłów kochanka; lecz ten śmiech przeraźliwy, ta mowa tak dziwna i tak niepojęta dawały się jej domyślać nieszczęścia, którego była sprawczynią.

— Mów, mów! — krzyknęła głosem rozpacz,

oblewając łzami jego kolana, -- mów, powiedz, że m przebaczasz, że się litujesz nademną.

— Przez boginię piękności! nie nad rozkoszną krainę Cypru, gdzie wrząca krew napełnia żyły nasze!.. Otóż kobiety!... wysmukłe nimfy Afrodyty.. Patrz, jak ogniste oczy! jak żywy na twarzach rumieniec!... przybywaj, przybywaj, bożku pustoty.. siedzisz na białym koźle, nieprawda?... lecz mam ci coś powiedzieć: twoje wino zbyt jest mocnem dla nas śmiertelnych. O, jakie to pięknie!.. w zielonych falach gaju utonął Zefir skrzydlaty; najmniejszy wietrzyk nie porusza odzianych liściem gałązek; na szczycie odwiecznego dębu spoczywają sny przyjemne.. a tu znowu w błękitnym kryształe spokojnego jeziora kąpie się blada Dyana.. wodotrysk!... daremnie chcę dostać obłoków; nie zgasi mojego słońca, jasnego słońca Grecyi.. Cóż to za postać kobiety?... widzę ją... przesuwa się przez cieniste drzew gałęzie, jak promyk letniego księżycy.. uwieńczona szeroką z liści dębowych girlandą, zbliża się... dlaczegoż taka smutna?... Spójrzyj! widziałeś kiedy równie powabną?... Ja i ona... jesteśmy sami, ukryci przed światem, przed oczyma potwarców... Ach!... uciekaj!.. to Nimfa gór i lasów! jej wzrok odbiera rozum i wprawia w szaleństwo... uciekaj!.. niestety! już mnie dostrzegła.

— Glauku! Glauku! czy mnie nie poznajesz? przestań; każde twe słowo przeszywa razem śmiertelnym serce Nidy.

Nowa zmiana w przewróconym umyśle obłąkanego Ateńczyka; położył drżącą swą rękę na głowie

niewidomej, pieścił się jedwabnemi jej włosami, spoglądał na nią z czułością kochanka.. wymówił imię Jony, i to wspomnienie zmieszało do reszty jego palającą wyobraźnię.

— Na Jowisza i Plutona, na piekło i niebo!— zawołał—choć ja świat dźwigam na mych ramionach, jak niegdyś mój współziomek, Herkules, przysięgam, że rzuciłbym go w przepaść dawnego Chaosu za jeden uśmiech Jony!... Ach! piękna, ubóstwiana Jono!— dodał głosem płaczącym, ty mnie nie kochasz, uwierzyłaś w podłe oszczerstwa niegodnego Egipcyjczyka!... ty nie wiesz, ile godzin, ile nocy spędziłem pod oknami twojego mieszkania, w nadziei, że choć niechęć, dasz mi się widzieć nareszcie... Niewdzięczna!... Ach! nie opuszczaj nieszczęśliwego Glauka!... on się urodził w krainie ojców twoich, jego przodkowie byli braćmi przodków Jony... Nie, ty mnie opuścić nie możesz. Życie moje jest bliskiem swojego końca, pozwól mi umrzeć przy tobie... Precz! precz, piekielne straszidło!.. śmierć spokojna, lecz straszna osiadła czoło twoje... czegoż się śmiejesz?... twój uśmiech zabija... Twoje prawdziwe imię *Orkus*, lecz na ziemi zwą cię Arbacesem... Precz! precz ode mnie!... odgadłem, wiem, kto jesteś, i twoja czarnoksiężka sztuka na nic się już nie przyda.

— Glauku, Glauku!... — wyrzekła głosem umierającym Nidya i padła bez zmysłów przy nogach Ateńczyka.

— Kto mnie woła?... Jona!... śpieszmy na jej ra-



tunek!... gdzie jest moje żelazo?... ha! już je mam; Jono! biegnę! biegnę!...

Wyleciał z domu i, przebiegając oświecone blaskiem gwiazd ulice, roztrącał przechodzących; nawykli do widzenia nieraz podobnych skutków opilstwa, ustępowali mu z drogi; lecz kto z nich raz drugi rzucał okiem na przerażającą twarz obłąkanego, nie śmiał się już więcej. Tym sposobem Glaukus przebył najludniejszą część miasta i, mniemając zawsze, że sły-  
szy wołającą ratunku Jonę i śpieszy do jej mieszkania, znalazł się nakoniec w samotnej ustroni, w miejscu wybranem przez Olinta do stanowczej z Apaeci-  
desem rozmowy.

---

## ROZDZIAŁ VI.

**Zoście się niespodziane. — Rzeki, płynące oddzielnie  
wpadają w jedną przepaść.**

Zniknęło światło dzienne; już gwiazdy pogodnej nocy błyszczały na całym niebios okręgu, gdy niecierpliwy, chociaż jeszcze niezupełnie wyzdrowiały Arbaces, udał się do mieszkania Dycmeda, chcąc się dowiedzieć, azali Julia spełniła swój zamiar, w podaniu miłosnego napoju ohydnu jego współzalotnikowi, i jaki ztąd otrzymała skutek. Powiedziałem, że w owej epoce Rzymianie, wychodząc z domu, mieli zawsze przy sobie tabliczki i używane do pisania na nich *style*, podobne do dzisiejszych zbójceckich we Włoszech sztyletów; tą bronią, im mniej podejrzaną, tem więcej niebezpieczną, zapalczywy Kasyusz, wobec zebranego Senatu, przeszył serce zwycięzcy Pompejusza; w ręku Arbacesa była ona straszniejszą jeszcze.

Nie wspanialszego nad światło księżycy na południowym niebie. W tym szczęśliwym klimacie mrok wieczoru tak jest krótkim, iż za ledwie dostrzeżonym być może: przez chwilę, purpurowy blask zachodu

przybiera kolor mniej żywy, cień jeszcze jest bladym i przezroczystym; nagle giną ostatnie słońca promienie, błyszczą gwiazd miliony, wschodzi złocisty księżyc, i noc zaczyna swoje ciche nad ziemią panowanie.

W środku poświęconego Cybeli gaiku, którego dawność z samego już tylko mogła być znaną podania, wznosiła się mała tej bogini świątynia; białość jej murów, otoczonych ponurem drzew cieniem, miała w sobie coś uderzającego. Tu krokiem ostrożnym, lecz pośpiesznym przybył znajomy nam Kalenus i, przedzierając się przez gęstwę splecionych z sobą gałęzi, ukrył się w miejscu tak zewsząd osłoniętem, że wiedzący nawet, iż się w niem znajduje, niełatwo znaleźćby go potrafił. Wkrótce usłyszał bliski głos Arbacesa, który, śpiesząc do Dyomeda, spotkał się z idącym do Olinta Apaecidesem.

— Apaecidesie, — mówił Egipcyanin, — ostatni raz naszego widzenia się był dla nas nawzajem nieprzyjemny; pragnąłbym pomówić z tobą, bo chcę jeszcze mieć w tobie mojego ucznia, mojego przyjaciela.

Zadrzał Apaecides, poznawszy głos wroga swojej młodości; stanął i, wpatrując się w niego wzrokiem nienawiści i wzgardy, zawołał:

— Zbrodniarzu! a więc i piekło cię nawet przyjmąć nie chciało!... lecz nie spodziewaj się więcej schwytać mnie w swoje ohydne sidła!

Dumę obrażonego temi słowy potomka królów wydały drgające jego usta i ognisty gniewnego czoła rumieniec.

— Ciszej! — rzekł głosem przytłumionym, — gdyby cię inne miało usłyszeć ucho...

— I śmiesz mi grozić jeszcze!... a gdyby całe miasto słyszało wyrazy mojej dla ciebie pogardy?

— Natenczas!... lecz słuchaj mnie raczej. Gniew twój widzi we mnie występnego uwodziciela cnotliwej Jony... masz słusność; była to chwila obłąkania, dzieło trawiącej mnie zazdrości. O jakżem drogo opłacił tę chwilę mojego szaleństwa!... Przebaczył... Arbaces, którego czoło nie zgięło się dotąd przed nikim z śmiertelnych, błaga cię, abys mu przebaczyć raczył. Więcej jeszcze, chcę błąd mój naprawić. Czemże jest związek z tym płochym Ateńczykiem obok ofiarowanego przezemnie?... Posiadam bogactwa niezliczone; świetność mojego rodu wynosi mnie nad tych wszystkich, których Rzym i Grecya wielkimi mieni; znasz wyższość moich umiejętności... tak; od laj mi rękę twojej siostry, a wszystko, i życie moje poświęcę dla niej i dla ciebie.

— Niegodny! choćbyś mnie znalazł dość nikiemnym, abym się mógł zgodzić na to, wiedz, że Jona brzydzi się tem nawet powietrzem, którem pierś twoja oddycha. Co do mnie: mógłbym ci przebaczyć twoje bezecne ze mną kuglarstwa; lecz tego, żeś mnie chciał uczynić twoim współnikiem, istotą podobną do ciebie... nigdy! Drżyj! nadchodzi godzina, w której dam poznać światu ciebie i twoich fałszywych bogów... drżyj! zerwę zasłonę, ukrywającą wszeteczność życia twojego; upadnie bałwan Izydy i królewskie



imię Arbacesa stanie się przedmiotem pośmiewiska, wzdargy i obrzydzenia.

Egipcyanin obejrzał się wokoło, chcąc się zapewnić, że nikt go słyszeć nie będzie i, rzuciwszy na młodego kapłana spojrzenie, którego jednak okropność nie zmieszała śmiałego nowej wiary wyznawcy.

— Niebacznym!—zawołał półgłosem, — strzeż się! i rozważ wprzód, nim odpowiesz na moje zapytanie: twoja bluźniercza mowa jestże tylko wybuchem bezsilnej nienawiści, lub istotnem wyznaniem osnutego w obłąkanej myśli przedsięwzięcia?

— Mówiłem natchniony przez jedyne go, prawdziwego Boga, którego najwyższa sprawiedliwość wyznaczyła już dzień, mający odkryć piekielną twej duszy szpetotę. Drżysz, podły czarnoksiężniku!

Wszystkie namiętności wrodzone mieszkańcom kraju, w którym się urodził, wszystkie te ogniste i dzikie namiętności, które ukrywał pod płaszczem pozornej filozofii, zawrzały w czarnej duszy Egipcyanina. Widział niepodobieństwo prawego nawet związku z Joną i tryumf obrzydłego rywala... widział przed sobą nieprzyjaciela, który mu groził wykryciem jego fałszywej i zbrodniczej mądrości... miłość, chwała i samo życie nawet w niebezpieczeństwie!... wiedział już, że Apaecides przyjął wiarę chrześcijańską, znał nieustraszoną niezem gorliwość jej wyznawców... lecz ten obecny nieprzyjaciel był w jego mocy... porwał zbrojeckie żelazo i utopił je podwakroć w sercu chrześcianina.

Padł [Apaecides, nie wymówiwszy jednego słowa, nie wydawszy jęków, poprzedzających skonanie.

Arbaces patrzył czas niejaki na leżącą ofiarę jego wściekłości, z tą zwierzęcą radością, którą widok pokonanego nieprzyjaciela upaja hordy podobnych mu złoczyńców; lecz wkrótce myśl o własnem niebezpieczeństwie kazała mu opuścić miejsce popełnionego zabójstwa; otarł skrwawione żelazo i miał już odejść, gdy spostrzegł idącego ku sobie Ateńczyka.

— Ach!—mówił do siebie, — łaskawe przeznaczenie chce, abym, za jednym razem, pozbył się dwóch moich nieprzyjaciół...—i skrył się za drzewo, jak czujający na zdobycz tygrys, czekając, zanim się zbliży.

Nieszczęśliwy Glaukus, którego wzrok obłąkany i twarz wybladła dały poznać Egipcyaninowi skuteczną piekielnego napoju czarownicy, szedł krokiem chwiejnym aż do miejsca, gdzie go zatrzymał tarzający się we krwi trup Apaecidesa, i upadł na martwe ciało chrześcianina, uderzony silnym razem Arbacesa, który, przygniótłszy kolanem zemdloną pierś jego, wołał:

— Hola! obywatele, hola! na pomoc!... zbliżcie się tu... Mord!... mord popełniono prawie w waszej świątyni! na pomoc, gdyż morderca ucieknie.

To mówiąc, przycisnął nogą pierś Glauka; próżną jednak była ta ostrożność, bo Grek, odurzony napojem i swym upadkiem, leżał nieczuły i nieruchomy, a z piersi wydobywały się tylko niekiedy czece i niezrozumiałe dźwięki.

Nim zbiegły się tłumy ludzi, Egipcyanin doznał

niejakich wyrzutów sumienia; pomimo swe zbrodnie, był człowiekiem. Stan Glauka, bezbronnego leżącego na ziemi, jego przerywane słowa, obłąkany rozum dotknęły go więcej, niż śmierć Apaecidesa, i rzekł zcicha do siebie:

— Biedna istoto! gdzie twój rozum? *gdzie teraz twoja dusza?* Mógłbym cię oszczędzić, bo już nie jesteś moim współzalnikiem! lecz spełnić się musi przeznaczenie; moje bezpieczeństwo wymaga, abym cię poświęcił.

To rzekłszy, zaczął krzyczeć głośnie, niż przedtem, a dobywszy sztylet z pasa Glauka, zboczył go we krwi płynącej z ran zamordowanego i położył przy trupie.

Tymczasem przybiegali zadyszani obywatele; niektórzy nieśli pochodnie, których blask czerwony pośpiesznie oświecał liście drzew wokoło rosnących.

— Podnieście to ciało, — rzekł Egipcjanin, — i strzeżcie pilnie mordercy.

Gniew i oburzenie ogarnęły obecnych, gdy w martwym ciele poznali kapłana świętej i czcigodnej Izydy; ale zadziwienie ich nie miało miary, gdy w ryśach oskarżonego poznali świętego Ateńczyka, przedmiot powszechnego uwielbienia.

— Glaukus! — zgodnie ozwały się głosy, — czy podobna?

— Prędzejbym sądził, — rzekł jeden do ucha sąsiada, — że sam Egipcjanin jest mordercą.

W tej chwili przedarł się przez zwiększającą się coraz ciżbę Centurion.

— Jaktó! krew! gdzie zabójca?

Obecni ukazali Glauka.

— On!.. Na Marsa! prędzejby go poczytać można za ofiarę. Kto go oskarża?

— Ja!—rzekł dumnie Arbaces; gdy kosztowne kamienie, okrywające jego szatę, wzrok uderzyły żołnierza, przekonał się wnet, że był to świadek godzien wiary.

— Przebacz mi; jak się nazywasz?—rzekł.

— Arbaces. To imię dosyć znane w Pompei! Gdym przechodził przez gaj, spostrzegłem, jak Grek i kapłan Izydy rozmawiali z sobą z wielką żywością. Zadziwiły mię gwałtowne poruszenia i głos wściekły pierwszego; zdawał się pijanym czy szalonym. Nagle podniósł styl; rzuciłem się, aby cios wstrzymać, lecz zapóźno! Już był dwa razy ugodził swą ofiarę, gdy przejęty okropnością i oburzeniem obałem mordercę. Żadnego mi nie stawił oporu, i utwierdziłem się w przekonaniu, że w chwili spełnienia zbrodni miał obłąkany rozum; wracając bowiem z ciężkiej choroby, nie mogłem mocno uderzyć, a Glaukus, widzicie, silny i młody.

— Otworzył oczy... rusza ustami, — rzekł żołnierz,—cóż masz powiedzieć, niewolniku?

— Ach! ach! uczyniłem, com powinien. Gdy stara czarownica rzuciła na mnie swojego węża i głośno rozśmiała się Hekata, mógłżebym inaczej postąpić? Lecz jestem chory... osłabiony.. zakłuło mię;



plonące żądło węża. Odnieście mię do łoża i przywołajcie lekarza. Sam nawet stary Eskulap pośpieszy, gdy mu powiecie, zem Grekiem. Ach! litości! miłosierdział płonę. Ogień pożera głowę i szpik moich kości!

To rzekłszy, upadł na ręce obecnych, wydając jęk straszny.

— Stracił rozum, — rzekł żołnierz z miną politowania, a w obłąkaniu ugodził kapłana. Kto go widział dnia dzisiejszego?

— Ja, — rzekł jeden z widzów. — Przechodził dziś rano mimo mojego sklepu i mówił ze mną. Zdawał się zdrowym zupełnie, a nawet silniejszym od nas wszystkich.

— I ja go widziałem przed półgodziną, — rzekł inny, — biegł przez ulicę, mówiąc do siebie i czyniąc dziwne poruszenia, tak właśnie, jak opisał Egipcyanin.

— To potwierdza oskarżenie; czyn zdaje się nie podlegać żadnemu powątpiewaniu. Trzeba go zaprowadzić do Pretora. Jaka szkoda! taki młody i taki bogaty! Ale zbrodnia okropna. Mord Kapłana Izidy, okrytego pontyfikalną szatą, i u stóp najstarszego z naszych ołtarzy!

Słowa te żywiej przypomniały zebrany tłum okropność świętokradzkiego czynu, którego nikt nie zważył dostatecznie w pierwszej chwili ciekawości i zadziwienia. Każdy wzdrygnął się przejęty pobożną zgrozą.

— Niedziw, że ziemia trzęsła się, gdy taki deptał ją potwór.

— Do więzienia! do więzienia! — wołali wszyscy.

Głos ostry radości przemógł powszechną wrzawę:

— *Zwierzęta już teraz mieć będą Gładyatora!*

Był to głos młodej kobiety, której rozmowę z Medonem przytoczyliśmy poprzednio.

— Prawda!... prawda!... to bardzo stosowne dla nadchodzących igrzysk zdarzenie!—inne ozwały się głosy; i od tej chwili znikła wszelka litość nad oskarżonym. Jego młodość i piękność zdolniejszym go jeszcze czyniły do szranek.

— Przynieście deski lub nosze, aby umieścić to ciało,—rzekł Arbaces,—zmarły kapłan Izydy nie jest pokonanym Gładyatorem, aby go pospolite ręce dotykać się miały.

Na te słowa obecni z uszanowaniem umieścili ciało Apaecidesa na ziemi, a niektórzy z nich pobiegli po nosze, aby je na nich złożyć.

W tej chwili ciżba rozstała się i stanął przed Arbacesem Olint Chrześcianin; oko jego, pełne boleści i niewysłowionej okropności, zatrzymało się najpierwej na zakrwawionej piersi i rysach twarzy zmarłego, malujących cierpienia gwałtownego zgonu.

— Zamordowany! — rzekł. — Jest to zapewne skutek twej gorliwości! Odkryli szlachetny twój zamiśl i śmiercią twą ubiegli swoją sromotę!

Podniósł potem głowę i spostrzegł nagle poważne oblicze Egipcyanina.

„z armią zbawienia“, gniewa się na tłum, nie umiejący uszanować religijnych objawów.

„Oddział“ przedefilował, muzyka ucichła, a natomiast żołnierze zaczęli śpiewać jakąś pieśń nabożną, z której mogłem tylko dosłyszeć i zrozumieć słowo „Aleluja“. Po tym okrzyku wpadały zawsze bębny i kastaniety ze swym akompaniamentem.

Zrozumiecie, że pochód ten bardzo mnie zajął, na twarzach całej grupy znać było dużo podniosłości uczuć i cierpliwości niemało. Do pewnego stopnia „oddział armii zbawienia“ miał cywilną odwagę, aby z dobrej woli iść w najludniejszą ulicę pomiędzy publiczność, która go musiała przyjąć szyderskim uśmiechem, lub złorzeczeniami.

Oryginalne wrażenie, jakie wyniosłem z tego spotkania, nie stało w zupełnej harmonii z opisami „armii zbawienia“, które dotąd zwłaszcza w niemieckich czytywałem dziennikach, przedstawiającemi „generała Bootha“ jako prostego szalbierza, a całą armię jako zgraję szaleńców lub wydrwigroszów.

Pomiędzy Anglikami, z którymi o tej sekcji mówił mi się zdarzyło, znalazłem większą część takich, którzy utrzymywali, że „Salvation army“ robi dużo dobrego pomiędzy angielskim popółstwem, że jednak, przeszczepiona na kontynent, traci rację bytu.

Najprościej rzeczą było pójść do księgarni, zaopatrzyć się w sporą ilość dzienników, broszur, publikacji, wychodzących z rozkazu generała Bootha i własne sobie o niej i o całym tym ekscentrycznym ruchu religijnym, którego ona jest wynikiem, wyrobić zdanie.

Nim wszakże przejrzę tę oryginalną literaturę, nie mogę się obejść bez kilku ogólniejszych uwag.

Anglia jest dzisiaj w pełni religijnych przeobrażeń, które snadnie możnaby nazwać rewolucją, gdyby nie to, że się odbywają bez krwi rozlewu, w tolerancyi i spokoju. Jest to reakcyja po sceptycyzmie, który, zagnieżdżwszy się w zeszłym wieku, przez długi czas szkodliwie wpływał nietylko na moralność angielskiego ludu, ale i na usposobienie wyższych klas tamtejszego społeczeństwa.

Statystyczny almanach Whitakera na rok 1884 wylicza, oprócz episkopalnego kościoła angielskiego, 189 różnorodnych konfesyj, sekt i towarzystw religijnych, którym państwo angielskie udziela swej prawnej opieki. Niektóre z nich żyją bardzo krótko, wiążą się tylko z powodzeniem jakiegoś mniej lub więcej zdolnego kaznodziej, inne się organizują, zyskują coraz to większą liczbę adeptów, czynią dzieła dobroczynne, budują własne zbory i kościoły.

Oczywiście to sekciarstwo nie jest wynikiem dzisiejszych czasów, sięga ono w znacznej części jeszcze czasów Henryka VIII i Elżbiety, obecnie jednak nosi zupełnie odmienną, aniżeli dawniej, cechę. Sekty, które w XVI lub XVII wieku wychodziły z łona protestantyzmu, były przedewszystkiem sektami teologicznymi, spierającemi się nieraz o rytualne subtelności, o sposób tłumaczenia tego lub owego rozdziału Biblii, o przyjęcie lub odrzucenie Aktów apostołskich i t. d.

Przewodnicy ich byli rabulistami, jakby należeli do palestry, a wszelka rabulisteryja jest zawziętą, nieprzyjazną dla każdego kto jej zrozumieć nie chce. W sporach sekciarskich, nacechowanych wysoką nietolerancyą, stały zasady etyczne, środki zapobieżenia moralnemu upadkowi społeczeństw na drugim planie:



teza teologiczna była celem oratorskich dysput i nie-  
raz wielkiego krwi rozlewu.

Im więcej angielski protestantyzm zamykał się  
w ścisłej teologii, tem mniej był przez naród zrczu-  
miany, im więcej było teologów, tem mniej ludzi reli-  
gijnych.

Reakcja też, jaka jeszcze w epoce romantyzmu,  
około roku 1830, powstała przeciw sceptycyzmowi  
i bezreligijności, wypisała zamiast teologii „humani-  
taryzm“ na swoim sztandarze, dążyła przedewszyst-  
kiem do umoralnienia i uszczęśliwienia ludzkości z po-  
mocą religii, nie przykładając do kwestyi teologicz-  
nych zbyt wielkiej wagi.

Prąd ten trwa do dziś dnia, coraz się bardziej  
wzmaga i wytwarza zupełnie nowe zjawisko: różnoro-  
dne sekty przyjaźnie obok siebie działają, łączą się  
w celach humanitarnych w stowarzyszenia, posuwają  
pomiędzy sobą zasady tolerancyi do tego stopnia, że,  
chcąc osiągnąć jakieś moralne korzyści, wzajemne  
w swych zasadach robią sobie ustępstwa.

Sekciarstwo opanowało nawet kościół anglikań-  
ski episkopalny, który zaledwie w swem centrum  
stoi oparty na dawnych podstawach, podczas gdy na  
prawem i lewem skrzydle najzupełniej się rozplywa  
w odśrodkowych dążnościach.

Jak wiadomo, owym rdzeniem, owem centrum  
kościola w Anglii jest tak zwany „Low church“ „Ko-  
ściół niski“, uważający Biblię za ostatni wyraz wszel-  
kiej teologicznej wiedzy. Trzyma on się jeszcze naj-  
więcej dawnych XXXIX artykułów, które od roku  
1562 więcej może w teoryi, aniżeli w rzeczywistości  
stanowiły konstytucyę anglikanizmu. Lewem skrzy-  
dłem episkopalnego kościoła jest „kościół wysoki“

grupa duchownych, powstała pod wpływem idei romantycznych, dla których ścisły episkopalizm był z nadto suchym, zamało przemawiającym do serca i fantazyi. Duchowni ci skupiają się dzisiaj około stowarzyszenia „English church union“, przypuszczają tradycje apostołskie, zaprowadzają bogaty rytuałizm, a nawet była chwila, kiedy nie byli przeciwni kultowi Matki Boskiej, chcieli się poddać celibatowi i dążyli pełnemi żaglami do kościoła katolickiego. Ówczesny ich przewodnik, dr. Newman, szedł tą drogą konsekwentnie i przyjął katolicką wiarę.

inni duchowni „kościół wysoki“ zatrzymali się na w pół drogi, odsunęli się od ścisłego anglikanizmu, nie doszli do kościoła rzymskiego i są przeto stronnictwem, które się nie zwiększa.

Prawem natomiast skrzydłem, stronnictwem postępu w kościele anglikańskim, jest kościół szeroki“ (Broad church) liberalny, gromadzący około siebie mnóstwo duchownych młodych, zdolnych, wielkiego wpływu. To postępowe duchowieństwo przypuszcza jaknajszerszą krytykę Biblii na podstawie nowych badań umiejętnych, wprowadza popioły Darwina do Westminsteru, radeby nadać kościołowi episkopalnemu jaknajszersze ramy, tak, aby powoli zagarnąć wszystkie sekty liberalne, racjonalistyczne, które chociażby słabą nicią wiążą się jeszcze z chrześcijaństwem.

Możeby ono zresztą było oddawna odłączyło się od episkopalizmu i na własną rękę rozpoczęło pracę „nawracania“, ale silniej aniżeli cokolwiek innego przykuwają je do historycznego kościoła ogromne dochody, jakie od niego poliera. „The established church of England“ posiada majątek, przyno-

szący 150 milionów franków rocznej renty, którą się dzieli wyższe anglikańskie duchowieństwo. Majątek ten nie stoi już dzisiaj w proporcji z wpływem i stanowiskiem kościoła episkopalnego, do którego należy tylko dwadzieścia milionów wiernych, pomiędzy ludnością, mówiącą po angielsku, podczas gdy reszta tej ludności, 68 milionów, do innych liczy się wyznań.

Wogóle stanowisko angielskiego kościoła jest dzisiaj anormalnem, gdyż o jego kierunku, o najważniejszych sprawach duchowieństwa dotyczących rozstrzyga parlament, złożony z członków najrozmaitszych konfesyj, z metodystów, unitaryuszów, katolików, żydów, albo ateuszów.

Coraz też silniejsza jest w Anglii agitacja, aby kościołowi episkopalnemu odebrać prerogatywy, jakie mu do jeszcze pozostały; zrównać go z innymi konfesyjami, przeprowadzić marzenie kromwellowskich independentów *disestablishment* kościoła. W tym duchu działała dawniej „Anti-State church association“, a dzisiaj tą samą drogą idzie „Liberation Society“, towarzystwo mające za zadanie wyswobodzić religię z pod opieki kontroli państwa.

Wobec takich stosunków dziwić się nie można postępowemu klerowi, że radby uderzyć w stronę jaknajliberalniejszą i liczebnie powiększyć swoje szeregi, a przedewszystkiem przyciągnąć do siebie sekty unitaryuszów i metodystów, najbardziej zbliżone do narodowego kościoła.

Dążenie ponętne, zwłaszcza, że metodyści liczą blisko 16, a unitaryusze blisko dwa miliony wyznawców. Sam kościół więc episkopalny daje hasło religijnej tolerancji, na każdym kroku objawia skłonność

do układów, obawiając się, aby mu liberalne sekty ponad głowę nie urosły.

Przed kilkoma laty bawiłem kilka tygodni w lecie w St. Moritz, w Engadynie, gdzie naturalnie było dużo Anglików. Jak wszędzie w swych choćby chwilowych koloniach, tak i tam postawili John Bulle kaplicę i jakiegoś sławnego sprowadzili kaznodzieję, należącego do kościoła „szerokiego“.

Ciekawy poznać ich ruch religijny, chodziłem na owe kazania, jakież było wszakże moje zdziwienie, gdy jednej niedzieli kaznodzieja anglikański ustąpił swej katedry przejeżdżającemu oratorowi kalwińskiemu, misyonarzowi, który dotąd pracował w Południowej Afryce, a drugiej niedzieli pozwolił, aby słynny jakiś „unitaryusz“ z Londynu miał na tem samym miejscu kazanie. Gospodarz siedział spokojnie w fotelu, podczas gdy unitaryzysta w swym duchu przemawiał. Zgoda była zupełna, tolerancya religijna, przechodząca wszelkie dotychczasowe wyobrażenia.

Zdarzenie to nie było widocznie wyjątkowem, mówiono mi bowiem w Londynie, że często znakomici unitaryści miewają nauki w zborach anglikańskich i że pomiędzy wieloma członkami anglikańskiego kościoła a unitarystami niema faktycznie, co do wyobrażeń religijnych, żadnej różnicy. Jedni i drudzy chcą wytworzyć jakiś „czysty“ chrześcijaństwo, odarty z wszelkiego obrządku i rytuału, i mówią swym uczniom: czcuj Boga, a zresztą słuchaj swego rozumu i sumienia.

Metodyści, drugi wielki odłam lewego skrzydła angielskich chrześcian, nie chcą, aby ich sektą nazywać, a niektórzy z nich zapisują się poprostu, jako „niesekciarze“ (unsectarians), inni, jako „chrześcia-



nie, nie przypuszczający innego nazwiska jak Imię Jezusa Chrystusa“ (Christians owing no name but the Lord Jesus), chrześciance, którym nie chodzi o teologię, ale o umoralnienie społeczeństwa.

Metodyści są owocem owego religijnego ruchu, który w pierwszej połowie zeszłego wieku wszczął słynny John Wesley w łonie anglikańskiego kościoła; całe ich religijne dążenie skierowane jest do rozszerzania nauki, tolerancji, oświaty. W tej mierze są oni niesłychanie czynni, dzielą się na kongregacje, posiadające wielką autonomię, których głównem zadaniem jest praca około podniesienia moralności ludu.

W roku 1880 wychowywali oni w połączonych królestwach Wielkiej Brytanii przeszło półtora miliona dzieci we własnych szkołach i poświęcili przeszło cztery miliony franków na zagraniczne misye, posiadali w Anglii blisko 14.000 własnych kaplic i zborów, a 800.000 członków kongregacji brało czynny udział w pożytecznych pracach.

Z metodystami łączy się co do głównych zasad „armia zbawienia“ generała Bootha, a objaśnienia powyższe zdawały mi się koniecznymi, aby zrozumieć, że znaczna część duchowieństwa anglikańskiego i metodystów może popierać Bootha w jego dążeniach, otaczać go sympatyczną opieką i znacznymi popierać funduszami. Dzięki też tej opiece i wybornej organizacji jest „armia zbawienia“ stowarzyszeniem, które ze wszystkich sekt religijnych, jakie w ostatnich czasach w Anglii powstały, najszybsze robi postępy i dzisiaj, po siedmioletnim zaledwie istnieniu, kilka milionów liczy zwolenników.

Ekscentrycznością środków, jakimi „Salvation army“ dochodzi do celu, hałasem, jaki robi w świecie,

zresztą zaprzeczyć się nie dającym ogromnem powodzeniem zmusza ona, aby się nią zajmować.

Jakaż to postać owego „sławnego“ generała?

Historya jego podobna do losów wielu innych angielskich sekciarzy. William Booth ma obecnie około 55 lat, a od 38 lat trudni się religijną propagandą, doświadczenie więc w tej mierze może mieć niemałe. Jako siedemnastoletni chłopak marzy już o wzmożeniu sekty Wesleyanów (odłam metodystów), idzie z miasta do miasta, urządza meetingi robotniczej ludności, miewa po dwa razy na dzień kazania, „ratuje“ w jednym tygodniu 290 dusz w Newcastle, w Sheffield „nawraca“ w przeciągu miesiąca 663 „niewiernych“, w Charter garnie w przecięciu po 100 robotników dziennie pod swój sztandar.

Widocznie jednak nie we wszystkim trzyma się przepisów swej sekty, albowiem, pomimo świetnych zwycięstw, kongregacya go się wypiera i nie chce, aby nawracał angielskich robotników „na jej rachunek“. Booth jednak czuje zanadto wielkie powołanie do apostołstwa, aby się miał spokojnemu poświęcić życiu, rozpoczyna więc samodzielnie, przy pomocy tylko swej żony „dzieło ratowania dusz“ (soul-saving work) i idzie tam, gdzie najobfitszego spodziewa się żniwa: do ubogiej części wschodniego Londynu.

Tam go widzimy w roku 186 , jak najprzód miewa kazania pod gołym niebem, na rumowisku starej kamienicy, później naucza w jakimś namiocie, wreszcie ustala się w sali lekcyi tańców, którą mu się wynająć udało.

Coraz liczniejsi zbierają się około niego uczniowie; Booth wyklada im proste zasady miłości Chrystusa, każe się wstrzymywać od trunków, żyć po

chrześcijańsku; — propaganda idzie tak dobrze, że w trzy lata po rozpoczęciu swej londyńskiej misyi może już przyszedł generał ze składek nająć teatr, pustką stojący.

Na razie nadaje on swej działalności nazwę „Misji chrześcijańskiej“, pracuje dzień i noc, dobiera sobie kilku wędrownych pastorów, uciekinierów z różnorodnych sekt, rozsyła ich po całej Anglii i organizuje formalną religijną korporację.

Środki materyalne „misji“ szybko się zwiększają, bogaci Anglicy, skorzy do wspierania wszelkich humanitarnych dążeń, nie szczędzą grosza, tak, że Booth może w krótkim czasie porzucić „teatr“ i zakupić własny hotel z wielką hallą na pobożne zgromadzenia. W tem wszystkim rozwija on niepospolity talent administracyjny, otok słowa Bożego nie zapomina on nigdy o środkach, któremi szatan wojuje — o funtach szterlingów.

Po tak licznych zwycięztwach pragnie wódz — imperatorskiej korony.

Nie zadawalnia się już tytułem wędrującego kaznodziei, ale zamierza zostać „najwyższym kometantem“ armii, walczącej z szatanem, a chcąc w tej mierze zbadać opinię publiczną, idzie oczywiście utartym śladem i puszcza w świat — broszurę (1878).

W piśmie tem nazywa się po raz pierwszy ziemskim wodzem, którego zadaniem jest „zwyciężyć pogan i założyć królestwo Chrystusa!“ „Misja chrześcijańska“ ma być „misją zbawienia“. Booth przestaje być skromnym, bierze w rękę laskę dyktatorską. „Wierni“ przyklaskują tej odwadze mistrza; nazwa „Salvation army“ bardzo im się podoba, pijacy

z „Ost-End“ się cieszą, że będą należeli do korporacji tak zaszczytne noszącej miano.

Rok więc 1878 jest pierwszym rokiem ukazania się „armii zbawienia“. Booth nie uważa swej zapowiedzi o walce z szatanem za piękny zwrot mowy, lecz owszem, organizuje kadry, które pod wodzą mianowanych przez niego naczelników mają muzyką, śpiewem i słowem „pokonywać dyabła“, nawracać owe miliony opuszczonych po wielkich miastach nędzarzy, którzy nigdy nie słyszeli słowa Bożego, ale przepędzali swe życie w zaułkach wszelkiego zepsucia.

Wódz zna tych ludzi i wie, że oni dobrowolnie nie będą szukać religii i cnoty, że, chcąc ich nawrócić, trzeba się do nich zbliżyć, działać natarczywie, wytworzyć nowy rodzaj chrześcijaństwa „agresywnego“, wojującego, działającego środkami odpowiedniami do zmysłów pijaków. Niedosć zresztą chwilowo nawrócić ich na drogę cnoty, trzeba tych włóczęgów na niej utrzymać, ażeby nie wracali do szynku, ale się przyzwyczaili do porządku i pracy.

W tym celu zaprowadza Booth organizację wojskową pomiędzy „wiernymi“, ubiera ich w mundur, wyrabia w nich pewien honor wojskowy, *esprit de corp* i ożywia jakąś wyższą myślą o życiu, ideą walki w szeregach Chrystusa.

Myśl okazuje się praktyczną, coraz to większe tłumy gromadzą się pod sztandarem Bootha, który za lat kilka takie lakoniczne pisze o swem działaniu sprawozdanie:

„W r. 1880 armia rozszerza swe operacje na Irlandyę i Stany Zjednoczone“.



„W r. 1881 wkracza do Francyi, staje główną kwaterą na Quai Valmy w Paryżu. W tym samym czasie pierwszy korpus australijski zajmuje Adelajdę i podbija wszystkie kolonie angielskie w Australii“.

„W r. 1882 armia amerykańska maszeruje do Canady, część korpusu francuskiego idzie do Szwajcaryi, a oddział angielski wsiada na okręty do Indyi“.

W r. 1883 urządza już „Salvation army“ ekspedycyę do Szwecyi, do południowej Afryki i do nowej Zelandyi“.

W tym samym roku armia liczy 429 korpusów w Anglii, a 42 na kontynencie i w koloniach. Sześcioma przeszło milionami żołnierzy dowodzi 1245 oficerów, z których 100 należy do generalnego sztabu! Składki ubogich żołnierzy wynoszą w roku 1882 na opędzenie potrzeb armii 2,250.000, dary ludzi zamożnych 978 000 franków.

Cyfry te wyjmujemy z „urzędowych“ sprawozdań armii, które się i tem jeszcze szczycą, że w czerwcu r. 1884 odbyło się w Londynie jedyne w swoim rodzaju zgromadzenie żołnierzy, w którym wzięło udział 400 ex pijaków.

Ponieważ zaś raporta generała Bootha chcą wszystko wykazać dobitnie i wyraźnie, przeto wydrukowano w nich czarno na białem, że owi pijacy przepędzali 5000(!) lat w stanie nietrzeźwym, dzisiaj zaś przynoszą zaszczyt „armii zbawienia“!

Jakież są jednak owe zasady, w imię których walczy generał Booth, rozporządzając tak znakomitą armią? Tak proste i krótkie, że głowa, najbardziej „ginem“ osłabiona, z łatwością pojąć je może. Katechizm metodystów w skróceniu:

„Bóg nienawidzi grzechu, ale kocha grzesznika, posłał więc na ziemię Chrystusa, aby dać ludziom możność expiacji. Kto w Niego uwierzy i przyjmie jako jedyne go z Bogiem pośrednika, ten będzie zbawionym — w przeciwnym razie wiecznego musi się spodziewać potępienia“.

„Słowo Boże“ głosi sam generał, pani Booth i cały, liczny korpus oficerski, największa jednak ilość broszur i kierujących artykułów w pismach salwacyonistów bywa dziełem generałowej. „Armia“ ma już własne szkoły kadetów, czyli seminarya, w których na swój sposób kształci oficerów, idących w świat „staczać walkę z szatanem“.

Oczywiście zakłady te nie stoją wysoko: uczą w nich Biblii i „religii praktycznej“, jak się program wyraża, tudzież różnorodnych metod i sposobów nawracania niewiernych. Ponieważ zaś generał jest wyborynym administratorem, przeto nie zapomina w swych akademiach o nauce rachunkowości, aby się podwładni nauczyli zbierać składki na ogólne potrzeby, zapisywać je do ksiąg i obliczać się z główną komendą.

Najoryginalniejszą częścią nauk są owe „metody“ nawracania. Na co się tylko amerykańsko-angielski humbug zdobyć może, wszystko w nich zastawano, generał Booth niczem nie pogardza: afiszem, muzyką, krzyżącemi kolorami, a jeden z jego adeptów, chcąc raz dowieść ludności, że Chrystus go wspiera w głoszeniu słowa Bożego, zapowiedział, że przez dziesięć minut, stojąc na głowie, będzie mówił kazanie i dotrzymał tak trudnej obietnicy. „Dobra“ publiczność tak się czuła tym „cudem“ porwaną,

ści — rzekł do siebie Egipcyanin, gdy został sam jeden; pragnę z serca ocalić tego Greka. — Jeżeli przyzna się do zbrodni, a przez to zerwie na zawsze związek swój z Joną i zagrozi wszelkiej możności wysłędzenia tego, com uczynił, może go jeszcze ocalę skłonieniem Julii do wyznania, że mu podała napój miłosny, co go zastąpi od kary. Jeżeli zaś nie przyzna się do występku, trzeba będzie zapobiedz wyznaniom Julii, i musi umierać; tak jest, śmierć jego pozbawi mię rywala i zapewni mi bezpieczeństwo. Wolałbym jednak aby się przyznał... Czyliby niemożna wmówić w niego, że w obłąkaniu ugodził kapłana? Taki obrót rzeczy byłby dla mnie najdogodniejszy. Muszę spróbować tego.

W tej chwili Arbaces zbliżył się do drzwi Salustyusza, przed którymi leżała na ziemi jakaś postać, cała okryta płaszczem.

Położenie jej tak było nieruchome i tak niewyraźne zarysy, że każdy, prócz Arbacesa, poczytałby ją za jedną z owych istot z tamtego świata, które, wracając na ziemię, przebywać zwykły u pręgów dawnych pomieszek; ale Egipcyanin nie był zdolnym do podobnych przypuszczeń.

— Powstań — rzekł, dotykając nogą jej twarzy; zagradzasz mi drogę.

Postać leżąca podniosła się na nogi, a światło gwiazd ukazało w niej młodą Tessaliankę, Nidyę.

— Ach! kto jesteś, — zawoła? Znany mi twój głos.

— Młoda niewolnico, co tu czynisz o tej godzinie?... Czyż to przystoi twojej płci i wiekowi? Powróć do siebie, dziewczyno.

— Znam cię — rzecze Nidya cichym głosem; jesteś Arbaces z Egiptu.

To rzekłszy, nagle upadła mu do nóg, objęła jego kolana i zawołała z wyrazem obłąkanej namiętności:

— O straszliwy i przemożny człowieku! ocal go! on niewinny... Jest w tym domu! chory, umierający, a ja... ja, jestem obrzydłą sprawczynią wszystkiego! Nie pozwalają mi wejść; odpychają biedną niewidomą! Ach! ulecz go! znane ci są zapewne zioła, uroki, lub inne środki przeciw truciźnie; wiedz albowiem, że napój podany Glaukowi jest przyczyną jego szaleństwa!

— Uspokój się, moje dziecię, wiem o wszystkim. Zapominasz, żeś towarzyszył Julii do czarownicy. Ona mu pewnie podała napój; lecz sława jej wymaga, abys zachowała milczenie. Nie rób żadnych sobie wyrzutów i wiedz, że uczynię, co powinienem; tymczasem muszę widzieć obwinionego; może jeszcze można go będzie ocalić. Oddal się!

To rzekłszy, Arbaces wyrwał się z rąk rozpaczającej Tessalianki i silnie zastukał do drzwi.

Po niejakiem czasie opadły żelazne zapory, drzwi się w połowie uchyliły i odzwierny zapytał, kto stuka?

— Jestem Arbaces; mam coś ważnego powiedzieć Sallustyuszowi; przybywam od Pretora.

Gdy odzwierny wprowadzał Egipcyanina, Nidya rzuciła się do drzwi.

— Jak się ma? — zawołała; powiedz mi to, powiedz, na Boga!



— Ach! zawsze ta młoda natrętnica!... wstydź się. Mówią, że rozum odzyskał.

— Niech będą pochwaleni bogowie!... racz mię wpuścić, zaklinam cię!

— Ciebie wpuścić!... o! nie. Dobrzeby się miały moje plecy, gdybym teraz wpuszczał podobne tobie stworzenia! Powróć do siebie.

Drzwi się zamknęły. Nidya z głębokiem westchnieniem usiadła znowu na zimnym kamieniu i twarz okryła płaszczem.

Tymczasem Arbaces wszedł już był do *triclinium*, gdzie Sallustyusz wieczerał z ulubionym swym wyzwolencem.

— Jakto, Arbaces! o tej godzinie!... Przyjmij tę czarę!

— Dziękuję ci, zacny Sallustyuszu! przyprowadza mię ważna sprawa, nie zaś chęć podzielenia twej uczy. Jak się ma nasz więzień? Mówią, że rozum odzyskał.

— To prawda — odpowiedział Sallustyusz, ocierając łzy; — ale zdrowie jego tak silnie zachwiane, że zaledwie poznać w nim można tego tak świętego niegdyś młodzieńca. Najdziwniejsze zaś, że sam pojąć nie może powodów tak gwałtownego obłąkania, które, dzięki niebu, już przeszło; słabą tylko zachowuje pamięć tego, co zaszło, a pomimo zeznania twoje, mądry Egipcyaninie, uroczyście utrzymuje, iż jest niewinnym śmierci Apaecidesa.

— Sallustyuszu — rzekł Arbaces z powagą;

w sprawie przyjaciela twojego jest wiele okoliczności, które zasługują na pobłażanie; a jeżeli wymóźdz zdołamy, aby wyznał swą zbrodnię i powody, które go do niej skłoniły, możnaby się wiele spodziewać po łaskawości Senatu; wiesz bowiem, że Senat ma władzę złagodzić prawo, lub je cbostrzyć. Dla tej to właśnie przyczyny wyjednałem u wyższej władzy miastę pozwolenie widzenia się dziś jeszcze z Ateńczykiem. Wszakże wiesz, że jutro zaczyna się sprawa?

— Jeżeli potrafisz powziąć z jego mowy jakiegokolwiek objaśnienie, będziesz prawdziwie godnym uroku wschodniego imienia twojego i otaczającej cię sławy; możesz jednak spróbować. Biedny Glaukus! miał zawsze tak dobry apetyt; teraz już nie prawie jeść nie chce.

Na tę myśl epikurejczyk uczuł się prawdziwie rozrzewnionym i rzekł do niewolnika, wzdychając, aby mu nową czarę nappełnił.

— Już jest późno — rzekł Egipcyanin; — pozwól, abym zaraz widział więźnia twojego

Sallustyusz zaprowadził go do małych drzwi, strzeżonych zewnątrz przez dwóch niewolników, i oddalił się na prośbę Arbacesa; Egipcyanin wszedł sam do Glauka.

Wielki i powabny świecznik w guście ówczesnej epoki, stał przy wąskim łożu. Blade jego światło oświecało twarz Ateńczyka. Znikła świetność barw jego cery; zapadły się policzki; usta postradały kolory życia; na całym obliczu malowały się ślady straszliwej walki między życiem i śmiercią. Młodość

i siły Glauka odniosły zwycięstwo; ale świeżość krwi i duszy, tyle w życiu stanowiąca powabów, znikła bez powrotu.

Egipcyanin usiadł spokojnie przy łożu; Glaukus był nieruchomy i nie spostrzegł jego przybycia. Na koniec rzekł Arbaces po długiem milczeniu:

— Glauku, byliśmy dotąd nieprzyjaciółmi; ale teraz przychodzę do ciebie śród nocy, aby ci dać dowody przyjaźni, a nawet, aby cię ocalić.

Jak dzielny koń wzdryga się gdy uczuje ślady tygrysa, tak Glaukus, na to nieprzewidziane zjawisko nieprzyjaciela swojego, podniósł się szybko na łożu i wlepił wzrok z przerażeniem w jego oblicze. Długi czas obaj nie mieli siły odwrócić oczu od siebie. Wiele razy zmieniał kolory Ateńczyk, a szpizowa cera Egipcyanina oblokła się barwą wyraźnej bladeści. Na koniec Glaukus otarł ręką czoło, padł na łożo ze słabym jękiem i rzekł do siebie:

— Czyliż śpię jeszcze?

— Nie, Glauku, ty nie śpisz. Na tę prawicę i na głowę ojca przysięgam, że widzisz przed sobą człowieka, który może ocalić twe życie. Słuchaj! wiem, coś uczynił. Popełniłeś świętokradzkie morderstwo; nie marszcz czoła, nie wzdrygaj się... ja to na własne oczy widziałem. Lecz mogę dowieść, żeś był wówczas pozbawiony rozumu, i że tem samem nie mogłeś myśleć i działać rozważnie. Podpisz tylko to pismo; wyznaj, żeś sprawcą śmierci Apaecidesa, a unikniesz straszliwego wyroku.

— Co znaczą te słowa?..- morderstwo!.. Apaec-

cides! Czyliżem go nie znalazł broczącego w krwi własnej na ziemi?... i chcesz wmówić, że ja go zamordowałem!... Kłamiesz bezczelnie!... idź precz!

— Nie unos się, Glauku; występki twój do-  
wiedziony; zresztą nie dziwię się, że nie przypomi-  
nasz sobie w obłąkaniu popełnionego czynu, na którego  
samą myśl, teraz, gdyś już rozum odzyskał, obrusza  
się cała twa dusza. Ale muszę odświeżyć twą pa-  
mięć znużoną i wyczerpaną. Przypomnij sobie jak prze-  
chadzałeś się z kapłanem, tocząc zwadę burzliwą,  
jaki on był ponury, surowy; jak ci wyrzucał twój  
tryb życia, i jak nakoniec poprzysiągł, że nie ze-  
zwoli nigdy na małżeństwo twe z Joną; wtedy,  
w uniesieniu wściekłości i gniewu, utopiłeś w sercu  
jego żelazo. Tak jest, widzę, żeś już wszystko sobie  
przypomniał. Dalej, odczytaj to pismo; w niem się  
zawiera, com powiedział; podpisz je, a będziesz oca-  
lony!

— Barbarzyńcze! daj mi to pismo kłamliwe,  
abym je podarł! Kto, ja! mordercą brata Jony! Ja  
miałbym się przyznać, że dotknąłem jednego włosa  
drogiej dla niej osoby! Wolę tysiąc razy śmierć po-  
nieść!

— Upamiętaj się! — rzekł Arbaces głosem prze-  
ciąglym i cichym — jedna tylko pozostaje ci kolej:  
wyznanie i podpis... albo Amfiteatr i lwia paszczęka.

To rzekłszy, ciekawie wlepił oczy w chorego  
i spostrzegł z radością widoczne znaki wzruszenia na  
jego twarzy. Lekki dreszcz przebiegł członki Ateń



czyka, otworzyły się usta, a wyraz zdziwienia odmalował się na czole i w oczach.

— Wielcy bogowie! — rzekł głosem zmienionym, co znaczy ta kolej losu? — Wczoraj jeszcze życie moje przebiegało ścieżką zasłaną różami: Jona miała być moją; młodość, zdrowie, miłość nie szczędziły dla mnie swych skarbów.. Teraz cierpienie, szaleństwo, hańba, śmierć! I za co? Cóżem uczynił? Ach! moje obłąkanie trwa jeszcze!

— Podpisz a będziesz ocalony! — rzekł Egipcjanin głosem najłagodniejszym.

— Nie, nigdy! — zawołał Glaukus w nowym przystępie wściekłości: ty mię nie znasz; nie znasz wyniosłej duszy Ateńczyka! Obraz nagłej śmierci mógł mię przerazić na chwilę, lecz już to przeszło. Teraz wiem tylko, że hańba płami na wieki! Któżby chciał dla ocalenia życia imię swe okryć niesławą? Któżby mógł zamienić czystość sumienia na życie sromotne? Ktoby był tak niegodnym, aby chciał ratować się kłamstwem haniebnem i umrzeć splamionym w oczach świata i Jony. Jeżeli jest człowiek tak nikczemny, aby mógł to wszystko uczynić dla okupienia kilku lat życia w niesławie, nie spodziewaj się, podły barbarzyńcze dzikiego wschodu, aby nim był ten, który się urodził na ziemi Harmodyusza i oddychał tem samem, co Sokrates, powietrzem; żyć chcę bez plamy albo umrzeć odważnie!

— Zastanów się! wyobraź sobie lwie szpony, szyderskie wrzaski nieokrzesanego pospólstwa, jego uciechę i radość na widok twojego skonu i rozszarpa-

nych członków; będziesz zniesławionym; zwłokom twoim nikt nie wyświadczy ostatniej posługi; dotknie cię hańba, której pragniesz uniknąć, i imię twoje okryje na zawsze!

— Mówisz od rzeczy! *ty* teraz obłąkany masz rozum; strata własnego szacunku, nie zaś dobrego mniemania innych ludzi jest prawdziwą sromotą... Idź precz, powtarzam... znieść nie mogę obmierzłej twej obecności. Nienawidziłem cię zawsze... teraz pogardzam tobą.

— Odchodzę! — rzekł urażony — ale razem mimowolnie uwielbiający cnotę i męstwo ofiary swojej Arbaces; odchodzę, lecz zobaczymy się jeszcze dwa razy.. pierwszy przed trybunałem; drugi przed śmiercią! Bywaj zdrów!

Powstał zwołna, okrył się płaszczem i udał się do Sallustyusza, którego rozum już prawie zupełnie uległ odurzającej własności wina.

— Jest jeszcze w obłąkaniu — rzekł do niego Arbaces — albo zawsze stale uparty; niema dla niego nadziei.

Sallustyusz, więcej ubolewający nad nieszczęściem przyjaciela, niż przekonany o jego niewinności, odpowiedział:

— Nie mów tego, mój Egipcyaninie; trzeba wszystkie sprężyny poruszyć, aby ocalić człowieka co tak dzielnie umiał kufle wychylać. Sprawa to między Bachusem i Izydą.

— Zobaczymy — odpowiedział Arbaces.

To rzekłszy, wyszedł na ulicę, i raz jeszcze zbliżyła się do niego Nidya.

— Czy go ocalisz?—zawołała, składając ręce.

— Moje dziecię, idź za mną, mam z tobą do pomówienia. Jego to dobro wymaga, abyś mi była posłuszną.

— Lecz czy zostanie ocalonym?

Zamiast odpowiedzi Arbaces oddalił się krokiem powolnym; Nidya wahała się czas niejaki, potem poszła za nim, nie mówiąc nic więcej.

— Muszę w pewnem miejscu ukryć tę dziewczynę — rzekł do siebie Arbaces, mogłaby bowiem uczynić zeznania o napoju miłosnym; co do płochej Julii ta się nie zdradzi.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

### Klasyczny obchód pogrzebu.

Tymczasem śmierć i boleść zajęła mieszkanie Jony; ciało Apaecidesa, złożone w domu siostry, na zajutrz miało być przeniesione na miejsce ostatniej dla zmarłych posługi. Ten zbytek żalu, który nas czyni nieczułymi na wszystko, co mu jest obcem, i milczenie nie chcących zwiększać smutku domowników nie dały jej wiedzieć o szczegółach, dotyczących okrutnego losu jej kochanka; choroba, obłąkanie i sąd mający potępić nieszczęśliwego Glauka dotąd jeszcze nieznanie były Jonie; słyszała tylko, że był obwiniony o zbrodnię dopełnioną nad Apaecidesem za bójstwa, lecz jej serce odpychało z oburzeniem sam pomysł, że mógł być występny; kto go oskarżał? Arbaces; dość było na tem, aby wierzyła, że oskarżyciel sam był zabójcą. Wszakże ważność, jaką u starożytnych przywiązywano do najmniejszych żałobnych obrzędów ze strony krewnych zmarłego, więziła jej boleść i przekonanie w granicach ścian, kryjących zwłoki braterskie. Niestety! odjętą jej została możność wypełnienia smutnego obowiązku



w ostatniej chwili umierającego, nie była świadkiem skonania, nie słyszała ostatniego westchnienia lubej, niktnej na zawsze istoty; lecz przynajmniej mogła czuwać nad pozbawionym życia, omywać łzami łożę, na którym spoczywał, i odświeżać gałązkę żałobnego cyprysu, zawieszoną u wnijscia do smutnego okrutnej śmierci schronienia. Oddana tej świętej powinności, wśród wyrzekań dręczącej zboliałą jej duszę rozpacz, Jona o samej nawet sobie pamiętać nie była w stanie.

Jednym z piękniejszych zwyczajów starożytności było grzebanie zmarłych w kwiecie wieku młodzieńców o pierwszym dnia świtaniu; poetyczna Greków i Rzymian wyobraźnia, tłómacząc śmierć w sposobie więcej przyjemnym, niż strasznym, chciała wierzyć, że zawsze młoda jutrzeńka porывała podobnych do niej, aby ich uczynić swoimi kochankami; i chociaż, w obecnem zdarzeniu, ta miła bajka nie mogła być zastosowaną do zabitego kapłana Izydy, zwyczaj ten jednak, powszechnie przyjęty, zachowany być musiał.

Zaledwie zniknąć zaczęły mdlejące nocy światełka i jeszcze dzień nie rozciągnął swojego nad ziemią panowania, a już orszak pogrzebowy stanął u wrót mieszkania Jony. Długie i cienkie pochodnie, mieszając bladej swój połysk z blaskiem świtającego poranku, oświecały tłum ponurych tego orszaku postaci; jęczące echo roznosiło po ulicach uspiętego miasteczka smutne dźwięki muzyki, i płaczliwy chór kobiet zanucił pieśń żałobną:

Gdy tak chciało przeznaczenie  
Aby cię z żyjących łona  
Tam gdzie smutne błędą cienie  
Śmierć przeniosła niecofniona,  
Spiesz się — próżne wyrzekania,  
Nieba się zmiękczyć nie dadzą,  
Do podziemnego mieszkania  
Łzy cię nasze odprowadzą.

Znikło słońce mgły czarnemi,  
Światło się twoje pokryło,  
Już dla ciebie na twej ziemi  
Wszystko się, wszystko skończyło,  
Spiesz — już na cię Charon czeka,  
Łódź u brzegu, wiosło w dłoni;  
Czemże jest życie człowieka?  
Nietrwałym kwiatem bez woni.

Krótko kwitnąłeś, niestety!  
Duch twój w krainie Erebu,  
Błądząc nad wodami Lety \*)  
Smutnego czeka pogrzebu.  
Miłość ci łożę uściele  
Wśród wonnych stosu płomieni,  
Spiesz! wołają przyjaciele  
Płaczący w progu twych sieni.

Ustały pienia, wyniesiono na łożu przykrytem  
purpurą śmiertelne zwłoki Apaecidesa, dał znak prze-

---

\*) Leta, rzeka niepamięci.

wodnik (designator) i orszak żałobny udał się krokiem powolnym na położony za murami miasta plac grobów, dla oddania ostatek zmarłemu posługi.

Na przodzie szła muzyka, której smutne i w pół przytłumione tony przerywał chrapliwy dźwięk trąby pogrzebowej; idący za nią najęci płaczkowie śpiewali hymny żalosne; z głosem płaczących kobiet mieszał się głos chłopców, których dziecinne jeszcze lata stanowiły uderzającą sprzeczność pomiędzy życiem a śmiercią; lecz nie przyjęto mimików i trefnisiów grających rolę zmarłego; zwyczaj ten nie byłby właściwym przy obrzędzie, któremu tak bolesne towarzyszyły wypadki. W szatach jak śnieg białych, trzymając w ręku kłosa zboża, postępowali kapłani Izydy; przed ciałem niesiono obrazy słynących w Atenach przodków zmarłego, a za nim, otoczona licznem gronem przyjaciółek i niewolnic, z rozpuszczonemi w nieładzie włosami, a twarzą bledszą od marmuru, szła oplakująca śmierć brata Jona. Łzy ciche spadały na jej lica, jak czysta niebios rosa na kwiat omdlewającej lilii; nie słyszano jęków jej boleści, nie wydawała krzyków rozpaczy... wszędzie i zawsze żal głęboki był niemym.

W takim szyku orszak żałobny, przeszedłszy główne miasta ulice, stanął nakoniec w miejscu, gdzie ułożony, w kształcie ołtarza, z drzewa i gałęzi sosnowych stos pogrzebowy ocieniała ponura zieloność poświęconych żalowi cyprysów. Rozstały się szeregi towarzyszących, i nieszczęśliwa Jona zbliżyła się do umieszczonej na stosie trumny, aby raz jeszcze

pożegnać, raz jeszcze uściskać brata, którego traciła na zawsze.

Na martwych rysach Apaecidesa nie widać już było bolesnych gwałtownej śmierci śladów; zimna, łagodna spokojność zajęła miejsce burzliwych młodego wieku namiętności: walki religijnej, trwogi, nadziei i nieufności; ze wszystkich uczuć, które miały duszą wzdychającego do świętości życia młodzieńca, żadne nie zostawiło swych śladów na zlodowaciałem jego czole, na ustach, które już oddychać przestały.

— O mój bracie! mój bracie! — wołała biedna sierota, — ty, pod którego stopami najmniejszy nie zginął robaczek, jakiegoż na ziemi mogłeś mieć nieprzyjaciela?... prawdaż to, zem cię straciła na wieki!... O nie! nie!... Ocknij się, powstań i otrzyj łzy mojej!

Głos ten miłości i żalu przerwał milczenie obecnych; powstał przeraźliwy wrzask tłumu; zadrżała Jona i, wznosząc zdumione oczy, jak gdyby wtenczas dopiero spostrzegła zebranie osób, które ją otaczały:

— Ach!—rzekła,—nie jesteśmy tu sami.

Wstała po krótkiej przerwie, a jej blade i szlachetne oblicze odzyskało znowu pierwotną swą ciszę. Drżącą ręką otworzyła powieki zmarłego; lecz gdy wzrok rzuciła na ogołoczone już z wyrazu miłości i życia zgasłe jego źrenice, wydała krzyk przeraźliwy, jak gdyby widokiem matry porażoną została. Potem odzyskawszy znowu spokojność, ucałowała wielkrotnie jego oczy, usta, czoło, i wzięła, jakby mimowol-



nie, z rąk wielkiego kapłana pogrzebową pochodnię.

Nagle odgłos muzyki i śpiewy płaczków zapowiedziały ukazanie się płomieni, a słowy następnemi przyzwano wiatry, aby siłę płomieni podnieciły:

— Przebudź się na twem łożu z obłoków, o słodki i święty Zefirze! Czy ci dał życie ponury Auster, czyś synem dzikiego Eurusa, czyś potomkiem Boreasza, który z lodów północy podnosi burze i fale na morzu, tak miłem będzie dla nas twe przybycie, jak uwieńczonego kwiaty Zefira, gdy skropiony kryształową rosą wieczornej zorzy przybywa dzielić pieszczoty Nimfy swej Flory.

„Czy widzisz, jak rozkoszne wonie podnoszą się z naszych srebrnych kadzielnic; ani bogate gaje Cypru, ani powabne jej nadbrzeża, ani wyspą róż, blaskiem oświecona księżycą. nie wydały nigdy godniejszych ciebie wonności. Kolumnami wonnego dymu ścielemy drogę pod twe nogi, strojne srebrnem obuwem.

„A ty, powietrze, odwieczne źródło wszystkiego, co oddycha i żyje, odbierz od tych martwych popiołów powierzone im życia zarody; przebudźcie się, płomienie, wiatry, powietrze: odbierzcie, co do was należy.

„Już przybywa! Patrzcie jak swem tchnieniem stos święty roznieca, jak skrzydła jego wydają walkę płomieniom, które nakształt węzów opasują zwłoki zmarłego! Na tronie śmierci spotkały się żywioły, aby swą własność odzyskać.

„Niech muzyka łagodniejsze wyda akordy!

Uwolniona z twych ziemskich więzów, z więzienia dotykalnych żywiołów, z powłoki śmiertelnego ciała, o, duszo! złóż dzięki świętym płomieniom; tyś już wolno na wieki!

„Jak wiatry nieprzerwanym biegiem przebywają powietrzne szlaki, tak i ty możesz już rozpocząć swą pielgrzymkę przez krainy przestrzenne. Łódka twa może już żeglować po fali leniwej wód Styksu; już w cienistych gajach elizejskich ogrodów, zdala od ohydneho Kocytu, błąkać się może szczęśliwa twa dusza! A my? Ach! kiedyż koniec naszym trudom i pracy? Ach! kiedyż wraz z tobą kosztować będzie my spoczynku?“

Wonne płomienie podniosły się do góry, łącząc się z pierwszym blaskiem jutrzeńki; żywe jego światło rozjaśniło ponure cyprysy, wzniosło się nad wysokie mury miasta; a ranny rybak wzdrygnął się, spostrzegając czerwoną luną na falach spokojnego morza.

Jona sama siedziała na stronie, wsparłszy głowę na rękach; nie widziała płomieni, nie słyszała płaczów i muzyki; czuła swoje sieroctwo; dla niej jeszcze obcą była ta święta ufność, która nas cichym głosem ostrzega, że umarli są z nami!

Wiatr przyspieszył działanie ognia i rychło strawiony został stos zasilony pałnemi materyami. Powoli słabły płomienie, zmniejszały się, znikały i nakoniec zgasły: godło samego istnienia! Tu, gdzie przed chwilą czynny ogień rozlewał ruch życia, została tylko garstka smutnych popiołów.

Zgaszono ostatnie iskry, a popioły zebrano starannie. Po złożeniu ich w srebrnej urnie i skropieniu rzadkiem winem i kosztownymi woniami, umieszczono w jednym ze wznoszących się w miejscu tem grobów, a obok urny postawiono fiaskę pełną łez i sztukę monety, którą poezya poświęcała ostatniej pielgrzymce. Grób został osypany kwiatami i wieńcami; postawiono na nim wiele palących się lamp i na ołtarzu rozniecono kadzidła. Ale gdy nazajutrz przybył kapłan z nową dla grobu ofiarą, zauważył, że do pomników pogańskiego przesądu nieznaną ręką dodała zieloną gałązkę palmową. Nie poruszył jej, bo nie wiedział, że było to godło pogrzebowe chrześcijaństwa.

Po ukończeniu całego obrzędu, jedna z kobiet, zwanych *Proeficoe*, trzy razy pokropiła obecnych oczyszczającą gałązką laurową, wymawiając słowo: *Jlicet!* (Skończyło się).

---

## ROZDZIAŁ IX.

### Jonę spotyka przygoda.

Kilka osób zostało na miejscu dla podzielenia z kapłanami pogrzebowej biesiady, gdy przejęta smutkiem Jona i jej kobiety wracały do domu. Po oddaniu bratu ostatniej posługi, myśli jej skierowały się do przyszłego małżonka, i przypomniała sobie jak okropne obarczało go oskarżenie. Powiedzieliśmy, iż nie tylko nie wierzyła tak niegodnej potwarzy, ale nadto, mając w silnem podejrzeniu samego Arbacesa, czuła, że wzgląd na kochanka i pamięć brata wymagały od niej, aby się udała do Pretora i objawiła mu powody swych podejrzeń, jakkolwiek ezczych i niepewnych. W tej chwili dopiero dowiedziała się od swych kobiet, że Glaukus niebezpiecznie chorował, że był uwięzionym w domu Sallustyusza, i że już oznaczono dzień, w którym miał stanąć przed trybunałem sprawiedliwości.

— Niech go bronią od tego bogowie! — zawołała, — jakżem mogła nie myśleć o nim tak długo! Muszę jaknajrychlej sprostować moją niebaczność; dać dowód, że chociaż najbliższa krewna zmarłego, mam



go jednak za niewinnego. Rychlejl! śpieszmy; nieśmy mu słowa pociechy, wspierajmy jego odwagę; a jeżeli mi nie zechcą uwierzyć, jeżeli nie podzielą przekonania mojego, jeżeli go osądzą na śmierć lub wygnanie, pragnę los jego podzielić.

Biegła zmieszana, obłąkana, wiedząc za ledwie, co czyni. To chciała udać się do Pretora, to znowu do Glauka. Już przeszła za bramę miasta, gdy nagle znalazła się wśród gromady ludzi, otaczającej nakrytą lektykę. Wyszedł z niej człowiek wysokiej postawy, i Jona z krzykiem poznała w nim Arbacesa.

— Piękna Jono, — rzekł, jakby nie spostrzegając jej przerażenia, — przebac, że przerywam pobożną twą boleść. Pretor, troskliwy o twój honor, wiedząc w jak drażliwym znajdujesz się położeniu, pomiędzy powinnością zemsty za śmierć brata i obawą o życie małżonka, pragnie, abys nie została niebacznie zawikłaną do sprawy, — lituje się nad twem sieroctwem, chce ci zapewnić zbawienne rady i współczucie, słowem w mądrej swej i ojcowskiej przezorności, powierza cię troskliwej pieczy opiekuna prawego. Oto jest pismo, którem oddał cię w moje ręce.

— Idź precz, ponury Egipcyaninie! — zawołała Jona, cofając się z dumą. — Tyś to zamordował brata mojego! Czyliż w ręce zbroczone jeszcze krwią jego ma być złożoną opieka siostry? Ach! bledniesz, przemówiło sumienie. Drżysz na myśl gromów boga mściciela! Idź precz i nierozdrażniaj mojej boleści.

— Ta boleść obłąkała twój rozum, — rzekł Arbaces, napróżno usiłując zachować w głosie zwykłą swą ciszę, — przebaczam ci! Będę zawsze tak dobrym, jak byłem dotąd, twym przyjacielem. Ale droga publiczna nie jest miejscem przyzwoitem dla naszej rozmowy. Zbliźcie się, niewolnicy! Dalej, wychowanico moja, lektyka czeka na ciebie.

Zadziwione i przelęknione kobiety zgromadziły się około Jony.

— Arbacesie, — rzecze najstarsza, — krok ten sprzeciwia się prawu. Nie jestże napisanem, że przez dziewięć dni od pogrzebu, nikt nie powinien przerywać samotnej boleści krewnych zmarłego?

— Kobieto, — odparł Arbaces, czyniąc nakazujący znak ręką, — żadne prawo pogrzebowe nie sprzeciwia się umieszczeniu wychowanicy pod dachem jej opiekuna. Powtarzam, że otrzymałem upoważnienie Pretora. To opóźnienie jest nieprzyzwoite; umieścić ją w lektyce.

To rzekłszy, silną ręką objął stan Jony. Wydarła mu się, rzuciła nań obłąkanym wzrokiem i zawołała, śmiejąc się konwulsyjnie;

— Ha! ha! dobrze!... bardzo dobrze! Doskonały opiekun! Ojcowskie prawo. Ha! ha!

Przerażona odgłosem tego strasznego śmiechu, upadła bez zmysłów na ziemię... Szybko umieszczoną została w lektyce i znikła z oczu zapłakanych swych kobiet.

---

## ROZDZIAŁ X.

**Co się dzieje z Nidyą w domu Arbacesa. — Egipcyanin lituje się nad Glaukiem. — Liość jest niepotrzebnym gościem zbrodniarza.**

Przypomni sobie czytelnik, że z rozkazu Arbacesa Nidya udała się do jego domu, gdzie w rozpacz i wyrzutach sumienia wyznała mimowolnie, że ona a nie Julia podała Glaukowi truciznę. Rzuciła się potem do nóg Egipcyanina i w najtkliwszych wyrazach zaklęła go, aby powrócił zdrowie i ocalił życie Glaukowi, mniemała bowiem, że tak biegły czarnoksiężnik wszystko to uczynić miał władzę. Arbaces tymczasem coraz silniej przejmował się potrzebą uwiezienia Nidy, do czasu, aż los Glauka rozstrzygnięty nie będzie; jeżeli bowiem czuł dawniej, gdy ją uważał tylko za spółniczkę Julii, jak dalece zachwiać mogło powziętą nadzieję zemsty wyznanie jej przed trybunałem, że w chwili spełnienia czynu miał obłąkany rozum; tem silniejszą teraz czuł obawę, aby natchnioną miłością, dla ocalenia ukochanego człowieka, dobrowolnie siebie samej nie oskarżyła. Zresztą, splamiłby swe imię i dobrą sławę, gdyby nie

przeszkodził wyjawieniu, jak sam sprzyjał namiętności Julii i brał udział w bezbożnych obrzędach czarownicy Wezuwiusza! Sama tylko chęć namówienia Glauka, aby się przyznał do zabójstwa Apaecidesa, przez coby najskuteczniej zapewnił Arbaces swe bezpieczeństwo i usunął przeszkodę obudzenia w sercu Jcny wzajemnej miłości, mogła przezwyciężyć obawę wszelkiego ze strony Julii wyznania.

— Moja córko — rzekł do niej Arbaces po długim zamyśleniu, trzeba, abyś tutaj została; obrażasz przyzwoitość, samotnie obiegając ulice. Żałuję cię, żeś taki popełniła występki i uczynię co można, aby zaradzić jego złym skutkom. Zaczekaj cierpliwie przez dni kilka, a ujrzysz znowu Glauka.

To rzekłszy, wyszedł śpiesznie z izby, w której znajdował się z Nidyą, i zamknął drzwi na żelazną zasuwę; poczem dał rozkaz niewolnikowi, do którego należał dozór tej części domu, aby czuwał nad nią starannie i wszystkie jej zaspakajał potrzeby.

Co się tyczy nieszczęśliwej Neapolitanki, cel jej uwięzienia był ten, aby zapobiedz staraniom jej o ocalenie Glauka; mogłaby albowiem zaskarżyć Arbacesa o czyn podejścia i gwałtu, jakiego dawniej względem niej się dopuścił i tym sposobem obudzić podejrzenia rzeczywistych powodów jego zemsty nad Glaukiem, przez co rzetelność oskarżenia jego byłaby silnie zachwiana. Od poranku dnia tego, gdy Jona o morderstwo brata jawnie go obwiniła, większą jeszcze uczuł potrzebę bliskiego nad nią czuwania. Lecz, gdy już miał ją w swym domu, pochlebiał sobie,



że dopiął zamiaru i że mógł zarówno dogodzić swej namiętności, jak zaradzić grożącemu niebezpieczeństwu.

Mimo to wszystko, doświadczał niespokojności i obawy, będących zwykle następstwem popełnionej zbrodni, a poczytywanych niekiedy za głos sumienia. Żywe powietrze Kampanii zbyt mu się ciężkiem zdawało; wzdychał gorąco do chwili, gdy zdoła opuścić miejsca, w których może nie zawsze z umarłymi zasypiać będzie niebezpieczeństwo. Powziął więc niezłomne postanowienie przenieść się z bogactwami i najdroższym ze wszystkich skarbów, Joną, w strony oddalone, jak tylko doczeka się ostatniego tchnienia rywala.

— Tak jest — mówił do siebie, chodząc wielkimi krokami w samotnej swej izbie, prawo, które mi powierzyło osobę mojej wychowanicy, czyni mię razem panem mojej małżonki. Ośmielony przepowiednią gwiazd i przecuciami mej duszy, przepłynę rozległe morza i przybiję do brzegów błogiej, bo jeszcze nie dźwigającej jarzma rzymskiego krainy, która, jak mię mądrość moja naucza, znajdować się musi na krańcach Oceanu. Tam przeniosę wiarę moich przodków; tam wskrzeszę popioły dziś już zgasłej starożytnej monarchii tebańskiej, tam panująca dynastia ojców moich właściwie przeznaczeniu swojemu znowu odbierze życie, tam nakoniec w szlachetnym sercu Jony ozwie się miłość i uwielbienie dla możnej duszy proroka i króla.

To rzekłszy, wyszedł z domu i udał się do Senatu, jako świadek w sprawie Ateńczyka. ¶

Widok bladej twarzy i zapadłych policzków jego ofiary, nie tyle go poruszył, ile malująca się na czole szlachetna stałość i nieugięta odwaga; w sercu natomiast Arbacesa współczucie dla męztwa brało górę nad litością dla nieszczęśliwych. Mimo to jednak, użył całej chytryści i wszelkie poruszył sprężyny, aby zgubić człowieka, którego uważał za zawadę w swem przedsięwzięciu; i gdy publicznie z udanym wstrętem i zmyśloną czułością świadczył przeciw Glaukowi, jednocześnie podżegał skrycie kapłanów do obudzenia tego gniewu wśród pospólstwa, który zwykle zagradzał Senatowi wszelką drogę do łaskawości.

---

## ROZDZIAŁ XI.

### Nidya gra rolę czarownicy.

Jak tylko Tessalianka poznała, że ją Arbaces samą zostawił, wyciągnęła ręce, i omackiem szukać zaczęła wyjścia z więzienia: lecz gdy przekonała się, że drzwi jedyne były zamknięte, zaczęła krzyczeć z całą właściwą sobie drażliwością charakteru.

— Hola! dziewczyno — rzekł niewolnik, otwierając drzwi, czy cię gad jadowity ukąsił, lub czy sądzisz, że nas zabiłoby milczenie, i że dla życia potrzebujemy takiego łoskotu i wrzawy, jak przy kolebce Jowisza?

— Gdzie twój pan, i dlaczego zamknięto mię w tej klatce? Potrzebuję wolności i powietrza; wypuść mię.

— Niestety! alboż nie znasz Arbacesa? On to rozkazał zamknąć cię w klatce, a mnie uwięzionej pil-

nować; nie dla ciebie więc powietrze i wolność; ale wzamian za to możesz mieć coś nierównie lepszego: dobre jedzenie i doskonałe wino.

— *Proh Jupiter!* — zawołała dziewczyna, załamując ręce. I za cóż mię uwieziono? czego wielki Arbaces chcieć może od tak biednej dziewczyny?

— O tem nic nie wiem; lecz może chce, abyś służyła nowej twej pani, którą tu dzisiaj przyprowadzono.

— Jakto! Jona jest tutaj?

— Tak jest, a nawet mimowolnie, chociaż, na świątynię Kastoru! Arbaces umie damy ujmować grzecznością. Wszakże wiesz, że jest ona jego wychowanicą.

— Chciej zaprowadzić mię do niej.

— Ona jest chora... z wściekłości i oburzenia. Zresztą nie otrzymałem na to rozkazu, a sam nie odważam się nigdy myśleć za siebie. Gdy Arbaces powierzał mi dozór tej części domu \*), rzekł do mnie: Jedną tylko dać ci winieniem przestrozę: dopóki u mnie służyysz, niewolno ci mieć ani uszu, ani oczu, ani myśli; tę tylko mieć musisz zaletę: posłuszeństwo.

— Lecz cóż byłoby złego, gdybym poszła do Jony?

— Nie wiem; jeżeli jednak chcesz się tylko rozzerwać, mój własny język jest na twoje usługi, bo mówiąc prawdę, i mnie jest nudno w mojem małym

---

\*) W domach zamożnych do każdego apartamentu oddzielnych przeznaczano niewolników.



*cubiculum*. Wszakżeś Tessalianka; musisz zapewne posiadać sztukę czarnoksiężką wrózenia przyszłości, bo wszakże trudnią się nią twoje współziomki? Chciej okazać, co umiesz.

— Milcz niewolniku! albo jeżeli koniecznie chcesz mówić, naucz mię, coś słyszał o Glauku.

— Pan mój poszedł świadczyć w jego sprawie; źle bardzo wyjdzie na tem Ateńczyk.

-- Dlaczego?

-- Ponieważ zamordował Apaecidesa.

— Ach! rzecze Nidya, wspierając obie ręce na czole, słyszałam w samej rzeczy, jak o tem mówiono! lecz któżby śmiał dotknąć choćby jednego włoska na jego głowie?

— Lew to uczyni podobno.

— Opiekuńcze bogi! Cóż powiedział?

— Chcę mówić, że jeżeli Glauka winnym uznają, lew albo tygrys na tamten świat go wyprawi.

Nidya zerwała się ze stołka jak gdyby grotem przeszyto jej serce; wydała krzyk przeraźliwy i, padając do nóg niewolnika, rzekła tak rozczulającym tonem, że aż wzruszyło się twarde serce tego człowieka.

— Ach wyznaj, żeś żartował... że niema słowa prawdy w tem, coś powiedział... Mów, mów!

— Na bogi! młoda niewolnico, ja się zgoła nie znam na prawie; może nie tak źle będzie jak mi się zdało. Lecz Arbaces jest jego oskarżycielem, a lud domaga się ofiary na nadchodzące igrzyska. Bądź

dobrej otuchy!... Ale powiedz mi, dlaczego los tego Ateńczyka tak cię silnie obchodzi?

— Co ci do tego... on był zawsze dla mnie dobrym i wspaniałym. Arbaces jego oskarżycielem! o losy! Lud... ach! miałaby być tak okrutnym dla Ateńczyka?... Niestety! Czyż i miłość dlań nie była okrutną?

To rzekłszy, głowę spuściła na piersi; przestała mówić, łzy gorące twarz jej skrapiały, a wszystkie usiłowania niewolnika, aby ją pocieszyć, nie zdołały przerwać głębokiego jej zamyślenia.

Gdy Sozya udał się do obowiązków swej służby, Nidya zaczęła zbierać swe myśli. Arbaces był więc oskarżycielem Glauka i on ją także uwięził w tem miejscu. Czyliżby to nie było dowodem, że wolność jej mogła być użyteczną Ateńczykowi. Tak jest, rzecz oczywista, że mogła przyczynić się do ocalenia ukochanego człowieka. Postanowiła więc użyć wszelkich sprężyn właściwej płci swojej przebiegłości dla doświadczenia, czy nie potrafi wymódcz na swym stróżu uwolnienia siebie tym, lub owym sposobem. Myśli te przez resztę dnia i długie godziny nocy wyłączenie zajmowały jej umysł, a gdy nazajutrz rano ukazał się Sozya, skierowała zaraz rozmowę do biegłości swej w sztuce czarnoksiężstwa, pomnąc, że dnia poprzedzającego była o to przezeń zapytywaną.

Wiedząc jednak, że tylko nocną porą jej nadzieja ucieczki otrzymać mogła spełnienie, pomimo całą swą niecierpliwość, zamiary swoje do jej nadejścia odłożyć postanowiła.

— Tylko w nocy, — rzekła do niego, mogą się objawiać wyroki przeznaczenia; przyjdź więc do mnie, gdy ciemność ziemię okryje; ale powiedz mi, czego dowiedzieć się pragniesz?

— Naucz mię, czy potrafię tyle oszczędzić pieniędzy, abym mógł wolność okupić, lub czy mi jej darmo udzieli Egipcyanin. Są przykłady tej jego szczodroblewości. Potem, czy zostanę posiadaczem piękneo sklepu, którym już sobie upatrzył, dla założenia w nim handlu wonności. Handel taki bardzoby był odpowiedni dla mojej przyzwoitej powierzchowności.

— Są rozmaite sposoby zadosyćuczynienia twojej chęci. Naprzód następuje się litomancya, czyli wieszczbiarstwo na kamieniu mówiącym, który odpowiada na zapytania nasze głosem dziecięcia; lecz nie mamy pod ręką tego kosztownego kamienia; jest on rzadki i drogi. Mamy potem gastronomancyę, za której pomocą duch ciemności rzuca na powierzchnię wody wróżące przyszłość blade i straszne obrazy; ale i ta sztuka nie może się obejść bez pewnych czar kształtu dziwnego, w których mieści się woda. Sądzę więc, że środek najprostszy zadowolenia ciebie następuje nam czarodziejstwo powietrza.

— Spodziewam się, — rzekł Sozya ze drżeniem, że nic mnie przytem nie spotka straszne; przyznam ci się, że niebardzo smakuję w towarzystwie z tamtego świata.

— Nie bój się, nic nie zobaczysz; dowiesz się

tylko, jakie cię czeka przeznaczenie zapomocą cichego szemrania wody. Pomnij, aby, jak rychło wieczorna gwiazda ukaże się na niebios okręgu, drzwi ogrodu były w połowie otwarte, dla przepuszczenia ducha ciemności; umieścisz zarazem przy drzwiach owoce i wino, na znak gościnności; we trzy zaś godziny po zmroku, przybądź tu z najczystszą i najzimniejszą jak można wodą, a sztuka Tessalii, której nauczyła mnie matka, odsłoni przed tobą tajemnice przyszłości. Nadewszystko, pamiętaj o drzwiach ogrodu... Wszystko od tego zależy.

— Bądź spokojna — odpowiedział Sozya, bynajmniej nie przenikający podejścia. Wiem, jak przykro człowiekowi, znajdującemu swą godność, gdy mu drzwi zamkną przed nosem, co mi się nieraz zdarzyło w gospodarstwie; wiem także, że osobę tak znakomitą, jak duch ciemności, ująć potrzeba dowodami gościnnej chęci. Tymczasem, przynoszę ci, piękne dziewczę, twój ranny posiłek.

— Co słyhać o sprawie?

— Adwokaci rozprawiają bez końca, i zaledwie jutro wszystko się skończy.

— Jutro!... czyś pewny tego?

— Tak mi mówiono.

— A Jona?

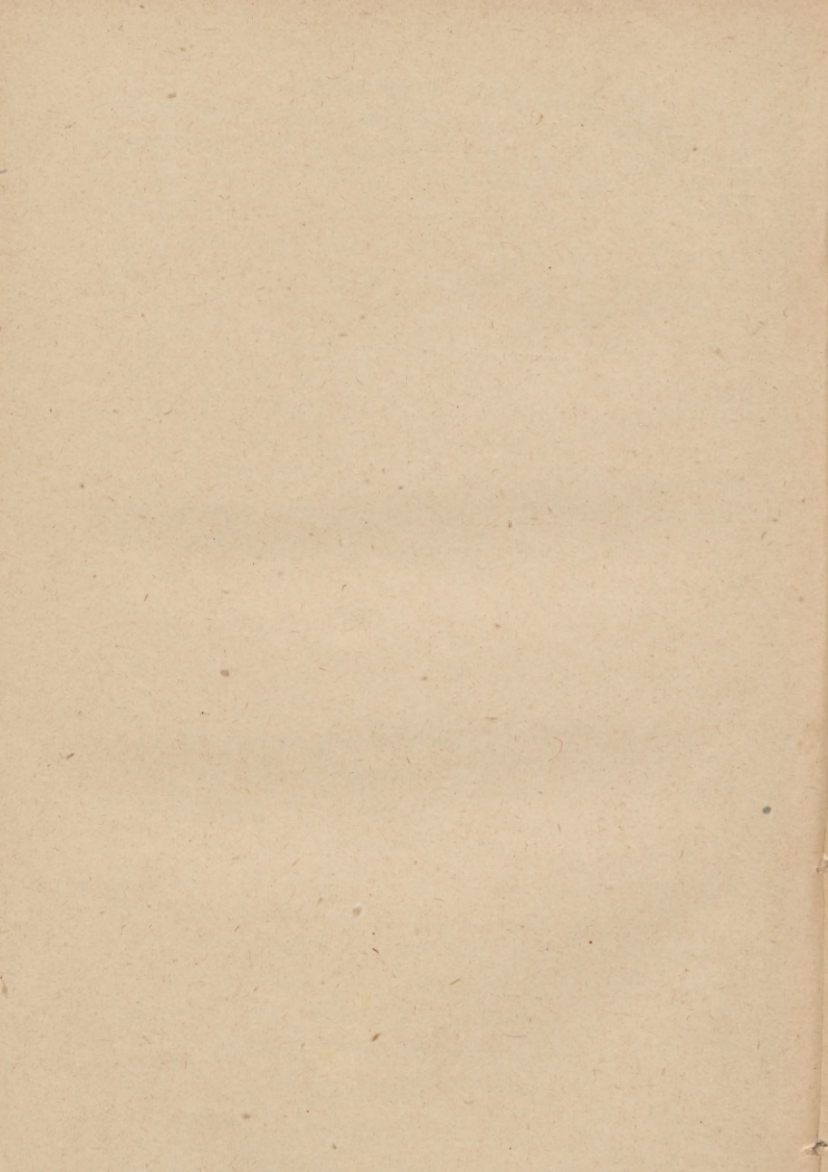
— O! ta musi mieć się dobrze, tyle bowiem narobiła dziś rano, że pan mój tupał nogami i gryzł wargi ze złości. Gdy z jej pokoju wychodził, całe czoło miał okryte zmarszczkami gniewu.



— Czy blisko ztąd jej mieszkanie?

— Nie, pokoje jej mieszczą się na wyższym pię-  
trze... Ale dosyć tej próżnej z tobą rozmowy  
*Vale.*

KONIEC TOMU TRZECIEGO.



Bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“:

kwartał IV r. 1898 (13 tomów).

<i>St. Kozłowski</i> „ <b>Taborycy</b> ”, dramat w pięciu aktach . . . . .	tom	1
<i>T. T. Jez</i> „ <b>W Zaraniu</b> “, powieść . . . . .	tomów	3
<i>E. Goncourt</i> „ <b>Bracia Zemganno</b> “ . . . . .	tom	1
<i>T. Padalica</i> „ <b>Powieści Ukrainskie</b> “ . . . . .	„	1
<i>Edm. Rostand</i> „ <b>Cyrano de Bergerac</b> “, komedya bohatera w przekładzie M. Konopnickiej i Włodz. Zagórskiego . . . . .	tomów	2
<i>Irena Mrozowicka</i> „ <b>W płytkim prądzie</b> “ . . . . .	tom	1
<i>Jonas Lie</i> „ <b>O Zachodzie</b> “, powieść norweska „	„	1
<i>Klementyna z Tańskich Hofmanowa</i> „ <b>Krystyna</b> “ . . . . .	tomów	2
<i>H. Andersen</i> „ <b>Bajki i Opowiadania</b> “ . . . . .	tom	1

Kwartał I r. 1899 (13 tomów).

<i>Józef Blaziński</i> „ <b>Obrazki</b> “ . . . . .	tom	1
<i>Artur Gruszecki</i> „ <b>Szarańcza</b> “ powieść na tle stosunków szląskich . . . . .	tomów	3
<i>Juliusz Breton</i> „ <b>Artysta</b> “ (Savarette) . . . . .	tom	1
<i>Jan Lam</i> „ <b>Wielki Świat Capowic</b> “ . . . . .	tomów	2
„ <b>Głowy do pszołoty</b> “ . . . . .	tomów	4
<i>J. W. Goethe</i> „ <b>Reineke-Lis</b> “ . . . . .	tom	1
<i>Stanisław Pilecki</i> „ <b>Dwa głosy</b> “ . . . . .	tom	1

Kwartał II r. 1899 (13 tomów),

<i>Marya Konopnicka</i> „ <b>Pod prawem</b> “ powieść	tom	?
<i>Teofil Lenartowicz</i> „ <b>Poezye</b> “ . . . . .	tom	1
<i>Marya Konopnicka</i> „ <b>Nowele</b> “ . . . . .	tom	1
<i>Adolf Dygasński</i> „ <b>W Kielcach</b> “ opowiadania i uwagi o czasach szkolnych . . . . .	tom	1

<i>Marya Konopnicka</i> „ <b>Nowele</b> “ . . . . .	tom	1
<i>Józefat Nowiński</i> „ <b>Biała gołąbka</b> “ poemat dramatyczny w 5 aktach . . . . .	tomów	2
<i>Marek Twain</i> „ <b>Bajeczki dla starych dzie- ci</b> “ przełożone z oryginału przez <i>Ali- nę Swiderską</i> . . . . .	tom	1
<i>Michał Synoradzki</i> „ <b>Muszkietierowie króla jegomości</b> “ romans historyczny. . . . .	tomów	4
<i>Eliza Orzeszkowa</i> „ <b>Jędza</b> “ . . . . .	tom	1

Kwartał III r. 1899 (13 tomów).

<i>K. Junosza</i> „ <b>Żywota i Spraw Imć pana Sym- chy Borucha Kaltkugla ksiąg pięcioro</b> “ . . . . .	tomów	2
<i>Wanda Grot-Bęczkowska</i> . „ <b>W mieszczań- skim gnieździe</b> “ powieść . . . . .	tomów	2
<i>Lord Byron</i> „ <b>Wędrowki Childe - Harolda</b> “ poemat, tłum. z ang. przez <i>A. A. K.</i> . . . . .	tomów	2
<i>A. K. Smaczniński</i> . „ <b>Na dnię otchłani</b> “ po- wieść współczesna . . . . .	tom	1
<i>Marya Łopuszańska</i> „ <b>Bezkrólewie</b> “ powieść historyczna . . . . .	tomów	4
<i>H. G. Wells</i> „ <b>Wojna światów</b> “ przekład z angielskiego <i>Maryi Wentz'l</i> . . . . .	tomów	2

Nowi prenumeratorzy „Gazety Polskiej“ mogą naby-  
wać powyższe komplety kwartalne po rb 2,40 w War-  
szawie, z przesyłką pocztową rb. 3.

W kwartale IV-tym roku 1899 wyszły następujące  
bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“:

<i>Edward Maliszewski</i> „ <b>Z życia</b> “ . . . . .	tom	1
<i>Wiktor Gomulicki</i> „ <b>Wybór Nowel</b> “ . . . . .	tomów	2
<i>E. L. Bulwer</i> „ <b>Ostatnie dni Pompei</b> “ . . . . .	tomów	4



WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA

130534

Biblioteka WSP Kielce



0149726